Nr. 45. Warszawa, dnia 28 Października (9 Listopada) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

GABINET RADYKALNY WE FRANCYI.

O Panamę wywrócił się gabinet Loubet'a d. 28 listopada 1892 r., a wodze po nim pochwycił Ribot; d. 30 października 1895 r. od podobnej sprawy kolei Południowej zwalił się gabinet p. Ribota, ktory od trzech lat był jakby maleńkim *in duodecimo* mężem „opatrznościowym“ we Francyi: ilekroć zakotłowało się w bagienku, on zawsze na wierzch wypływał i obejmował ster skołatanej nawy. W r. 1892 przychodził jako wykonawca woli większości w Izbie, aby się dobrać do dna matactw i występków Reinacha i jego wspólników; w r. 1895 odchodzi jako przeciwnik takiej samej woli w sprawie jednorodnej, w której, na rowni z epopeją Panamską, genialny szachraj zapewnił sobie ziemską nieśmiertelność. Jest ten Ribot do wszystkiego; równie łatwo powie *za*, jak *przeciw*, a nie zapomni na chwilę, że zawsze najlepiej być umiarkowanym, stać w środku; w danym wypadku kochać uczciwość trzeźwo, oględnie, nie dać się nigdy porywać temu, co *J. des débats* „wścieklizną cnoty“ nazywa.

P. Faure z początku chciał Ribota nadal utrzymać na urzędzie pierwszego ministra: przyzwyczaił się już do niego, a przytem tacy ludzie, jak właśnie Ribot, w epoce gutaperkowych sumień, sero wystygłych, głów płytkich i sofistycznych rozumów—są i najdogodniejszymi i najbardziej poszukiwanymi. Nie dało się jednak w nowem położeniu sklecić ministeryum ze starego żelaztwa. „Wścieklizna cnoty“ sama dopominała się gabinetu radykalnego. Musiał tedy prezydent rzeczypospolitej zwrócić się do którego w radykulistów: Goblot jest zbyt straszny, Cavaignac zbyt jeszcze surowy, Clémenceau zużyty, Brisson niezdarny; pozostawał p. Bourgeois. W gabinecie Ribota po upadku Loubeta był on już ministrem sprawiedliwości i na tym urzędzie d. 15 Grudnia 1892 r. oparł się skutecznie wnioskowi Pourquéry'ego, aby komisyi parlamentarnej panamskiej nadać atrybucye sądowe. To go zaleciło jako człowieka, który w radykalizmie sprawiedliwości nie okaże się zagorzalcem. Przemawiała za nim i łagodność usposobienia, wyłączająca despotyczność radykalnych dążeń.

D. 1 b. m., wieczorem p. Bourgeios wytworzył gabinet, a nazajutrz przedstawił go prezydentowi. Jest to trzecie z rzędu ministeryum radykalne trzeciej rzeczypospolitej: dwa pierwsze, Brissona i Flogueta, miały marny żywot jętek znikających ledwo się pojawią: trzeci — pewno także długowiecznością cieszyć się nie będzie.

Chciał p. Bourgeois zatrzymać na ministra spraw zagranicznych p. Hanotaux, bo i dyplomaci już się z nim zżyli i on otrzaskał się z dyplomacyą; był osobą miłą dla ambasadorów paryskich, miał znajomość spraw bieżących i wprawę w ich prowadzeniu; ale p. Hanotaux odmówił. Dzienniki głosiły, że Bourgeois chce zupełnego podbicia Madagaskaru, gdy p. Hanotaux zadawala się protektoratem; ale rzeczywistą przyczyną odmowy jest wstręt do radykalizmu. Sprawy zagraniczne objął tedy radykalny p. Berthelot, znakomity chemik, sekretarz stały Akademii nauk, senator, a przytem, jak głoszą nowiniarze, nietylko krańcowy postępowiec, ale nawet ateusz z powołania. Z tym tylko wydziałem miał p. Bourgeois istotny kłopot; inne bez trudu obsadził.

Sam objął sprawy wewnętrzne, Doumerowi powierzył skarb, Cavaignacowi — wojnę, Lockroy—marynarkę, Ricardowi—sprawiedliwość, Combes'owi — kolonie, Guyot-Dessaignes'owi — oświatę, Mesureur'owi — handel, a w kilka dni później Guieysse'owi — rolnictwo. Wybór Cavaignac'a rozgniewał wojskowców i nie podobał się szczególnie prawicy w Izbie. Nowy minister nie jest wcale wojskowym, a ma głowę reformatorską; nazywają go też z góry „dezorganizatorem.“ Niedawno skrytykował on zarząd wojskowości i rzucił pomysł armii kolonialnej, której Francya od lat dwudziestu dochrapać się jakoś nie może. Cywilnym również jest Lockroy, który do marynarki zaprawiał się na lądzie w Izbie, gdzie jako prezes właściwej sekcyi komisyi budżetowej, nabył pewnej znajomości przedmiotu.

Jeden z dziennikarzy dowcipnie przyrównał nowy gabinet francuski do ładnego statku, który ma wszystko, co potrzeba, z wyjątkiem — zdolności pływania. Może się i nie myli dziennikarski rozum. Nowy gabinet d. 4 b. m. w obu Izbach wygłosił już swój program.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 4 b. m. nowy gabinet francuski wygłosił swój radykalny program przed obu Izbami. W Izbie lewica oklaskiwała ustępy o śledztwie, mającem uzupełnić dotychczasową działalność sądów w sprawie kolei Południowej; w senacie oklask ściągnął na siebie jedynie ustęp przeciwko wichrzycielom, napadającym na własność. W prasie przejawia się albo oziębłość, albo nieżyczliwość. Do dnia 7 b. m. obie Izby odroczyły się na życzenie nowych ministrów; tego dnia miały rozpocząć obrady nad programem.

W Azyi Mniejszej nowe napady zbrojne, nowe walki narodowe między turkami i kurdami a armeńczykami, nowe rzezie i pogłoski o zamysłach Młodej Turcyi — i stara turecka bierność wobec *kismetu*. Padyszach zaczyna się naprawdę lękać i o Armenię, której zajęcie weszło jakby na porządek dzienny, i o siebie, swą władzę. Anglia, niby jego protektorka, przykłada mu nóż do gardła: tak się skarżą i ministrowie i posłowie. Rzeczywiście

Anglia myśli już o tem, jakby się porozumieć o przyszłe łupy; przykłada obecnie nóż— ale tępy, i na wykonanie reform nalegać nawet poważnie nie będzie — jeśli z odmętu Turcya wypłynie jeszcze żywa. Ruch w Armenii ma już teraz znamiona powstania, zośrodkowanego około Zeitunu.

Tewfik basza, poseł w Berlinie, powołany przez sułtana na jakieś wysokie stanowisko lub do rady doraźnej a ważnej — opuścił stolicę Niemiec w żałosnym elegijnym nastroju: błagał ks. Hohenlohe'go o uśmierzenie leoparda wielkobrytańskiego; książę żadnych zobowiązań stanowczych zaciągnąć nie chciał. I bez tego, Anglia, jeśli straszną będzie, to tylko razem z innymi. Nie rząd angielski, ale sam rząd turecki jest głównym wrogiem Turcyi. Śmiały a stateczny, rozumny poryw ku odrodzeniu politycznemu i społecznemu, teraz właśnie, w tej chwili, mógłby zabezpieczyć przyszłość.

Książę Borys otrzyma symbole religijne prawosławia w styczniu 1896 r.: postanowienie już urzędowe objawiono zgromadzeniu narodowemu, które od 27, a właściwie od 30 z. m. zasiada w Sofii.

Urzędowa *Wiener Ztg* ogłosiła nominacyę p. Stanisława Badeniego, brata pierwszego ministra, na marszałka sejmu krajowego w Galicyi; reskrypt nosi kontrasygnacyę Welsersheimba, ministra obrony krajowej; hr. Kazimierz nie chciał figurować na dyplomie, przynoszącym tak zaszczytną godność jego bratu; delikatność zasługująca na uznanie.

Staroczesi zrzekli się zupełnie kandydatur do sejmu czeskiego, który teraz ma być odnowiony przez nowe wybory. Młodoczesi mają zatem przed sobą już tylko jednego wroga — rząd austryacki; łatwiej im teraz powinno przyjść zwycięztwo. Hr. Badeni będzie miał z nimi moc utrapień.

Wiedeń ma prezydenta antisemitę, Lügera. Wyboru dokonała rada municypalna świeżo wybrana a mająca większość antisemicką. Lüger pozwolił był sobie zagrozić dualizmowi i żydom. Antisemityzmu z głowy mu wypłoszyć niepodobna; ale od dualizmu mu zasię, bo jako burmistrz, ma sobie oddaną gospodarkę miasta, a nie rządy monarchii. Po niedorzecznym wybryku prasa węgierska zadęła w wielką trąbę; później złagodniała i organa przewodnie w Peszcie zaczęły trąbić do odwrotu. Czego Franciszek Józef nie zrobi jako król węgierski, może zrobić jako cesarz austryacki; ale czy się odważy wzruszyć wybrańca stolicy, której życzliwość niezmącona ma dla niego i polityczne znaczenie? Niewiadomo, co zamierza hr. Badeni. Świeżo głoszą z Wiednia, że cesarz zatwierdzenia odmawia.

BADANIA NAUKOWE.

„SOCYOLOGIA POWSZECHNA" i jej przedstawiciel.

Niemcy — powiada Lange — to jedyny kraj na świecie, gdzie aptekarz nie może załatwić recepty, żeby tuż nie poczuć w sobie związku tej czynności z istnieniem wszechświata." Socyologia, możnaby powiedzieć, to jedyna nauka, która w rękach przynajmniej bardzo wielu jej przedstawicieli, nie nakreśliła sobie dotychczas swej dziedziny, swych własnych zadań i metod i nie może postawić jednego kroku (mniejsza już o to, czy naprzód, czy w tył), aby, jak ślepy z murem, nie szukać w tej chwili wspólności z całym procesem wszechświatowym, z biologią, chemią, fizyką, kosmogonią, Wyrażając się ironicznie o tej jej żądzy pokrewieństwa, nie mam, oczywiście, na myśli dążności, wspólnej wszystkim naukom, do złożenia się na pewien jednolity światopogląd, ani też zjawiska, co chwila powtarzającego się w historyi wiedzy, a polegającego na tem, że jedna jej gałąź wdziera się w zakres drugiej (jak to np. fizyologia uczyniła psychologii, lub chemia fizyce); zupełnie lub częściowo, na czas dłuższy lub krótszy, badany przedmiot jej odbiera; jedno i drugie są objawami prawdziwego postępu nauki, a za warunek właśnie mają samodzielność danej gałęzi i, że tak powiem, w podziale pracy samowiedzę. Lecz każda gałąź wiedzy za pierwszy sobie ma obowiązek wyjaśnić spostrzegane zjawiska przez czynniki, wchodzące w jej własny zakres badania, czyli, innemi słowy, wszystkie fakty, należące do jej dziedziny, ustawić w szeregi przyczynowe; dopiero doszedłszy do elementarnego względem niej czynnika, do niedziałki, do ogniwa szeregu, po za które jej wzrok już sięgnąć nie może — cały taki szereg, zawierający cząstkowe prawo, przekazuje innym badaczom, którzy go wiążą organicznie z innemi. Taka jest przynajmniej dążność każdej gałęzi, nawet trudności badania w jednem miejscu, niespodziewane jakieś zdobycze (np. bakteryologiczna) w drugiem, często skłaniają do zrobienia wyjątku, do zostawienia znanych luk w szeregu przyczynowym danej specyalności. I dążność ta jest koniecznym warunkiem wytworzenia się metody, sposobów i środków badania, właściwych osobnej gałęzi, bez których znowu nie zasługuje ona jeszcze na nazwę wiedzy.

Tymczasem socyologia (dlatego też wielu odmawia jej jeszcze tytułu nauki), zaniedbując zupełnie ten pierwszy obowiązek, ciągle dąży po różnych drogach. Zamiast dochodzić praw socyologicznych, z konieczności, oczywiście, cząstkowych, objaśniać zjawiska społeczne czynnikami społecznymi, poszukiwać niedziałki, która dopiero powiąże należycie dziedzinę społeczną z innemi, z podścieliskiem podspołecznem, bo, jak każda inna niedziałka, czy komórka w biologii, czy molekuła w fizyce, czy nawet (hypotetycznie) atom w chemii, okaże się najwyższym szczeblem podłoża przyczyn — socyologia wodzi błędnym wzrokiem po lepiej już uprawionych polach działów sąsiednich w pogoni za jakąś analogią. Mówię o „działach sąsiednich" w liczbie mnogiej, ponieważ dotąd jedynie biologia znaną była jako wierzycielka socyologii, która od niej zapożyczyła się, aby zbudować teoryę społeczeństwa-organizmu.

Przechodzę do przykładu, który dowiedzie, że i fizyko-chemia już jest powołana do pomocy przez Tarde'a.

Powinno się to wydać bardzo dziwnem. Każdy, kto czytał choćby „Prawa naśladownictwa" tego autora, zauważył z pewnością, jak często z naciskiem podkreśla on, że chodzi mu właśnie o czystość praw *społecznych*, o pozostawienie za nawiasem wszelkich czynników natury niespołecznej, przyrodniczej czy kosmicznej. I wbrew zbyt może bezwzględnej krytyce Tarde'a u nas, nie można zaprzeczyć, że na tem polu przysłużył on się poważnie socyologii przez postawienie, mianowicie, naśladownictwa, jako głównej cechy zjawisk społecznych. Jednak i tu już, gdzie autor usiłuje być trzeźwym, trzyma się pewnych granic — uderza jego ciągłe przywoływanie na pomoc „powtarzania powszechnego," którego formami w dziedzinach fizyko chemicznej, biologicznej i społecznej są: falowanie, dziedziczność i naśladownictwo — ciągłe powoływanie się na tamte dwie dla wytłomaczenia trzeciej, które każą przypuszczać u niego przypisywanie tym ostatnim wartości większej, niż prostej analogii.

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

Z Bastianem jest jej zawsze dobrze. W rozmowę jego wsłuchuje się chętnie, dla niego zawsze jest ładną, dzięki jemu artyzm jej zyskuje na polocie, w nią zaś samą wstępuje nowa treść. Wtedy to powstaje ów obraz z Muzeum Luksemburskiego i szereg delikatnych portretów. Zakochania pomiędzy nimi niema: on zdaje się zawsze być jedynie artystą, ona nie umie powrócić do dawnej z takiem mistrzostwem uprawianej kokieteryi. Natomiast *słucha* go, a w posłuszeństwie jest jakiś odrębny, delikatny odcień uległego oddania się. Kanciasta dziewica przeistacza się zwolna na kobietę.

Nagle on w ciężką, beznadziejną zapada chorobę. Wije się w strasznych bólach, traci władzę w nogach.

Zielony pączek miłości jej więdnie przed rozkwitem. Lecz wraz z chorobą budzi się w Bastianie tęsknota za obecnością Maryi. Gdy cierpienia zmniejszają się o tyle, że wyjeżdżać może, brat nieść go musi na górę, do niej. W przeciwnym razie ona, z matką, przychodzi doń w odwiedziny. Istna sielanka. Jego matka, poczciwa mieszczka, gotuje mu buliony, jej zaś matka, dystyngowana szlachcianka, przycina mu zbyt długie już włosy, podczas gdy brat, architekt, porządkuje mu brodę. W ten sposób przywracają mu wygląd wcale ładny, a mniej schorzały i Marya siąść musi przy jego łóżku. Do niej zwraca twarz, leży, spogląda na nią—i mówi o sztuce.

Wrzesień 1884. Marya kaszle wciąż i kaszle, z Bastianem jest coraz gorzej i gorzej, nie chce się z nią rozstawać, podczas najstraszniejszych nawet napadów.

Pierwszego października Marya zapisuje w dzienniku:

Tant de dégoût et tant de tristesse!

Poco pisać?

Z Bastianem Lepage'm jest coraz gorzej i gorzej.

Ja zaś nie mogę pracować.

Obrazu mego nigdy nie skończę.

Tak! tak! tak! tak!

On umiera, a cierpi straszliwie. Przebywając przy nim, człowiek odłącza się od ziemi.

On unosi się gdzieś, ponad nami; bywają dnie, kiedy i ja tego samego, co do swojej osoby, doznaję uczucia. Widzisz ludzi, mówisz z nimi, oni mówią z tobą, lecz niema cię już na ziemi; — spokojna obojętność, bezbolesna, rzekłbyś sen po opium. Chodzę tam jeszcze tylko z przyzwyczajenia; wygląda jak cień, ja zaś— prawie jak cień; poco to wszystko?

Nie odczuwa już należycie mojej obecności, jestem zbyteczną; nie posiadam daru ożywiania jego spojrzeń. Zadowolony jest, że mnie widzi. To wszystko.

Tak, on umiera — mnie zaś — wszystko jedno; nie zdaję sobie z tego sprawy; coś tylko usuwa się.

Zresztą—wszystko skończono.

Wszystko minęło.

W r. 1885 pochowają mnie."

Myliła się. Ostatniego dnia tegoż miesiącą skonała. I aż do ostatniego dnia Bastian Lepage kazał się nieść do niej, ona zaś w dreszczach przedśmiertnej gorączki

Przypominam sobie, że niegdyś w *Przeglądzie pedagogicznym* p. Wanda Szczawińska radziła, dla wyjaśnienia dzieciom systemu krążenia krwi, przyrównywać go do sieci rur, zaopatrujących Warszawę w wodę. Jeśli dla zwolenników teoryi społeczeństwa-organizmu to bardzo trafne porównanie przeradza się na niezgrabną analogię, która każe im widzieć w rurach od wody część prawdziwego systemu żył i arteryj społecznych—to w systemie Tarde'a należałoby chyba przypuszczać, że jak organizacya ludzka przeprowadza owe rury, tak zupełnie komórki zbudowały w celu rozprowadzenia krwi — żyły i arterye. Bo dla Tarde'a nie społeczeństwo organizmem, ale organizm jest społeczeństwem, ba! molekuła jest niem także.

Więc socyologia takie już poczyniła postępy, że wnosi do dziedziny nieorganicznej i biologicznej metody głębsze, niż chemia, fizyka, biologia — i nauki te swymi wasalami czyni? Ani trochę. To odkrycie nowych społeczeństw ma właśnie dopomódz do wyjaśnienia społeczeństwa ludzkiego, dla tej przyczyny, że społeczeństwo atomów, czyli molekuły, i komórek, czyli organizmy, są znacznie doskonalszemi, znacznie więcej posuniętemi w postępie, niż nasze ludzkie — które dla Tarde'a są równoznaczne z „narodami“ (*nations*).

Taką jest myśl przewodnia pracy Tarde'a, ogłoszonej w tomie I paryskiej *Revue Internationale de Sociologie* p. t. „Les monades et la science sociale.“ Mamy tu zarys całego systemu filozoficznego: zdaje się, że z tej strony jeszcze autor u nas nie jest znany. Podstawą jego jest uznanie monad Leibnitzowskich, czyli atomów myślących: antropomorfizm ku dołowi drabiny. Przed wieków wiekami stowarzyszyły się atomy i powytwarzały molekuły, czyli ciała chemiczne. Stowarzyszenie molekuł dało komórki, połączenie zaś tych — organizmy. Tu zaraz hypoteza co do wytworzenia samowiedzy jednostkowej: ma to być przewaga moralna jednej cząsteczki mózgowej nad innemi,ześrodkowującej w sobie promyki myśli tych wszystkich innych, tak zupełnie, jak myśl Newtona np., wyrażona w odkryciu przyciągania,ześrodkowała w sobie myśli tysiąca może poprzedników, którzy pozostali w mroku; świadomość jest to jakby „sława mózgowa,“ oraz panowanie jednej cząsteczki nad innemi. Objaśnienie to zapewne stosuje się, *mutatis mutandis*, i do wytworzenia w molekule z atomów — świadomości, która pcha ją do stowarzyszenia się z innemi — i w komórce. Wreszcie organizmy, ludzie np., w ten sam sposób łączą się w społeczeństwa.

Do jakiego stopnia na seryo bierze Tarde cały ten swój „powszechno-socyologiczny punkt widzenia,“ świadczy sposób, w jaki przewiduje i zwalcza możliwe przeciw niemu zarzuty. Powiedzą, że każdy organizm ma zupełnie stałe granice, gdy społeczeństw (narodów) są ogromnie chwiejne; że społeczeństwo w swym ustroju wewnętrnym jest nieskończenie bardziej zmienne, niż organizm; że gdy stosunki wewnętrzne cząstek składowych w molekule czy organizmie odznaczają się stałością, a budowa całości — wzorową symetryą, w społeczeństwie ani tej stałości, ani symetryi niema. To nie zarzut, a potwierdzenie właśnie hypotezy; bo i społeczeństwa ludzkie dążą do coraz większej symetryi i umechanicznienia, a że nie osiągnęły ich jeszcze w takim stopniu, jak komórki, a te—w takim, jak atomy—to dlatego, że ostatnie uformowały się znacznie wcześniej. Owa stałość wewnętrzna i symetrya cząsteczek ciał chemicznych jest punktem szczytowym dla nas zupełnie nieznanego okresu zaburzeń, równowagi niestałej, okresu organizacyjnego materyi...

Społeczeństwo ludzkie jeszcze taki okres przechodzi. Lecz postęp właśnie polega na tem, aby wszystkie procesy społeczne ostatecznie się zorganizowały, ustaliły *). Społeczeństwem idealnem byłoby takie, gdzie jakiś plan, powzięty celowo przez indywiduum (należy rozumieć: najlepsze), a więc bezwarunkowo sympatyczny, mógłby być bez przeszkód w całości wykonany. Taki „oświecony despotyzm“ już zapanował w starożytnych społeczeństwach atomowych i komórkowych; ludzkie zmierza ku niemu. Czyż nie jest to marzenie — nie rozczarowanego do „tłumu“ arystokraty ducha, lecz wprost — sędziego śledczego?

Dziwicie się — ciągnie dalej — mniejszemu stopniowi uorganizowania społeczeństw ludzkich. Ba! toć różne mchy i liszaje ziemne także ustępują pod tym względem innym roślinom, a w dodatku nie mają na gruncie określonych, symetrycznych granic. Społeczeństwa ludzkie dlatego takie zmienne i niesymetryczne, że są *płaskie*, czyli że dwa wymiary: długość i szerokość, ogromnie przewyższają w nich trzeci: wysokość, która równa jest wzrostowi ich członków, ludzi. Wszelkie zmiany, wszelkie nowości w jakimś aglomeracie przychodzą z zewnątrz, więc co dziwnego, że atomy i komórki mniej ich wprowadzają, kiedy, wobec stosunków niewielkich różnic wszystkich trzech wymiarów, otoczone są ze wszystkich stron jednostkami podobnemi sobie, a ludziom łatwiej przychodzą nowości do głowy, gdy tylko na płaszczyznach mają obok siebie bliźnich, a w kierunku wymiaru trzeciego — naturę.

Kiedy konieczność obrony przed wrogiem pyta autor, lub wogóle wzajemnego wzmożenia swych funkcyj życiowych, zbliża ludzi do siebie, stłacza ich niejako, co wtedy widzimy? Zamek średniowieczny na stropach skalistej góry, lub miasto nowożytne. A więc, jednocześnie: uregulowanie, „umechanicznienie“ procesów wewnętrznych aglomeratu; słabnie, nawet czasem symetryczność zarysów, oraz wspięcie się w górę, zmniejszenie różnicy między wysokością z dwoma innymi wymiarami. Gdyby nie to, że zmysły ludzkie, są tak urządzone, że jak np. wzrok, wymagają swobodnej przestrzeni, to potrzeba stłoczenia się i wspięcia bywałaby niekiedy tak mocna, iż formowałyby się zupełne „grona ludzi,“ jak jagód winnych lub pszczół w roju.

Co za szczęście, że to niemożebne!

(D. n.)

Kazimierz Krauz.

*) Kto czytał „Prawa naśladownictwa,“ przypomni tu sobie podział epok historycznych na „słownikowe,“ nagromadzające nowości, i „gramatyczne,“ porządkujące, który zawiera w stałym embryonie tę biurokratyczną formułę postępu.

SZKOŁY EKONOMICZNE.

Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej. Warszawa, przekład d-ra Z. Daszyńskiej.

Praca, której tytuł przytoczyliśmy, jest bardzo pożądanym nabytkiem dla naszej, tak ubogiej literatury ekonomicznej. Powstała ona z odczytów, które w r 1890 wygłosili w Genewie przedstawiciele różnych szkół ekonomii politycznej, zaproszeni przez tamtejsze chrześciańskie Towarzystwo nauk społecznych. Claudio Janet, profesor w Instytucie katolickim w Paryżu, przedstawił poglądy szkoły le Playa łącznie z zasadami, które przewodniczą „związkom pokoju społecznego.“ Karol Gide, wykładający ekonomię polityczną w Montpellier, nakreślił całokształt doktryn „szkoły nowej,“ do którego między innymi można zaliczyć profesora Iwaniukowa oraz

suchotniczej, kazała ustawiać łóżko swoje w salonie, aby go módz przyjąć. Siedział tak przy niej, z nogami wyciągniętemi na poduszkach, aż do wieczora, koło jej łóżka, tak, jak niegdyś ona przy nim siadywała. Prawie że nie mówili—byli ze sobą. Tylko tyle jeszcze odczuwać umieli. I gasła teraz cicha, zrezygnowana, bez skargi, ona, która od pierwszych świadomych chwil swego dzieciństwa gorzała taką nieokiełznaną, lękliwie-niecierpliwą żądzą życia, gasła, wiedząc, że to już koniec, wielka w śmierci, gdy wielką być nie mogła w małem i małostkowem istnieniu.

IV.

Cóż po niej zostało? Książka — tysiąc stronic — która w przeciągu sześciu lat rozeszła się prawie w 10,000 egzemplarzach, którą Andrzej Theuriet zaopatrzył w piękną wierszowaną przedmowę, książka, wobec której Maks Nordau odgrywa zwykłą swoją rolę psa w stosunku do pana, a której Barrés wystawia ołtarz, w celu uprawiania przed nim własnego, dość niezrozumiałego kultu Maryi Baszkircew. Nadto zaś został jeszcze „Muting,“ ów obraz w Muzeum Luksemburskiem. Bastian Lepage ocenił go, według sprawozdania Maryi. „Powiada, że nietrudno jest robić „choses canailles,“ chłopów, uliczników, wogóle — szarże; ale niech pani kiedyś zrobi ładną rzecz, subtelną, mającą charakter własny, oto w czem tkwi trudność.“

Dla dopełnienia obrazu tej dziewczyny pozwolę jej teraz mówić samej, w jej osobistych zwrotach, w odruchowem odtwarzaniu danej chwili, we właściwej jej tonacyi, tempie i temparamencie. Mając lat trzynaście pisze:

„Krew moja kipi, jestem zupełnie blada, poczem krew uderza mi do głowy, policzki pałają, serce bije; nie mogę zatrzymać uwagi na żadnym przedmiocie, łzy palą mnie wewnątrz, tłumię je w sobie i czuję się więcej jeszcze nieszczęśliwą; wszystko to niszczy mi zdrowie, psuje charakter, czyni mnie drażliwą, niecierpliwą. Ludziom, którzy spokojnie żyją, z twarzy spokój wyczytać można, ja jednak burzę się co chwila. Okradają mnie przecież z życia, kradnąc mi czas nauki. W szesnastym, siedemnastym roku opadną mnie inne myśli, teraz zaś mam jeszcze czas na naukę.“

A potem:

„Wszystko, co mówię, nie jest jeszcze dnem mojem, dna nie mam. Żyję tylko zewnętrznie. — Iść lub nie iść, mieć lub nie mieć—wszystko mi to jedno. Troska, radość, trudy moje nie istnieją...“

I dalej:

„Żyć chcę prędzej, prędzej, prędko. Prawda, zdaje mi się, że zapowiedzią krótkiego istnienia jest ta żądza życia z szybkością pary...“

„Czy kto da wiarę? Dla mnie wszystko dobre jest i piękne, nawet łzy, ból nawet. Lubię płakać, lubię rozpaczać i smucić się lubię. Kocham życie mimo wszystko. Chcę żyć. Pożądam szczęścia i jestem szczęśliwą, cierpiąc. Ciało moje płacze i krzyczy; lecz pewne coś we mnie, wyższe odemnie, doznaje w tem wszystkiem rozkoszy.“

A i ten przedziwnie subtelny obraz:

„Za każdem drobnem zmartwieniem serce moje kurczy się, nie zpowodu mnie samej, lecz ze współczucia — nie wiem, czy mnie zrozumieją—każde zmartwienie jest niby kroplą atramentu, która wpadłszy do szklanki wody, nie zatrze się nigdy, przyłączy się tylko do innych kropel i przejrzystą wodę uczyni szarą i brudną. Niech kto, ile chce, dolewa po tem wody, brudny osad zawsze na dnie pozostanie. Serce moje kurczy się, gdyż każde zmartwienie znaczy niezatartą plamą życie mo-

zmarłego Darguna. Wreszcie znany ekonomista, Fryderyk Passy, roztoczył przed słuchaczami obraz zasad liberalizmu ekonomicznego. Każdy z prelegentów bronił przedstawionego przez siebie kierunku, wykładając o ile można było w sposób przedmiotowy dążności swojego obozu. Naturalnie, w tym objektywizmie znalazły się niekiedy rysy, nacechowane silną podmiotowością. Tłomaczka zwróciła na to uwagę, czyniąc swoje dopiski. Trzeba żałować, że nie rozszerzyła ich, i nie korzystała częściej ze swego prawa.

Zasady manczesteryzmu są powszechnie znane. Nie będziemy więc zatrzymywali się nad poglądami, wypowiedzianymi przez Fryderyka Passy. Równie opuścimy szkołę le Playa, o której *Prawda* pisała już parokrotnie. Natomiast „szkoła nowa,“ przedstawiona przez Karola Gide'a, jest dla nas dosyć obcą, bo chociaż znamy jej przedstawicieli niemieckich, to przecież znajomość ta nie wystarcza. Różna od socyalizmu i od manczesteryzmu, znajduje się ona w okresie fermentowania i wyrabiania swoich doktryn. Poprzestaniemy więc na uwydatnieniu jej zasad.

„Szkoła le Playa, zarówno jak liberalna — powiada Gide — zdążyły już jasno zakreślić swoje granice i zdobyć szereg właściwości charakterystycznych, które łatwo opisać. Ale szkoła nowa (a raczej *nowe*, gdyż tu chodzi w istocie o kilka kierunków myśli) ma niemal tyle różnobarwnych odcieni, co zwolenników. Nie jest ona wcieleniem doktryny określonej, ze stałym programem, ale dążnością umysłu, reakcyą przeciwko panującej dotąd doktrynie. Do nowej szkoły należą wszyscy ekonomiści, których zaliczyć nie można ani do liberalnej, ani socyalistycznej, ani katolickiej.“

Gide, zaznaczywszy rozmaitość nowych kierunków i tem samem ich rozbieżność, przechodzi do przedstawienia pobudek, które przyczyniły się do tego, że młodzi ekonomiści porzucili szlaki swoich nauczycieli.

„Dzieje nasze przypominają owe kaczki, wychowane przez kury, które, opuściwszy ląd stały, rzucają się do wody, sprawiając swej szanownej karmicielce, patrzącej na nie z brzegu, pełne zdumienia rozczarowanie.“ Opowiada nam dzieje młodego pokolenia, do którego sam należał. Wychowywało się ono ku schyłkowi rządów Napoleona III. Ówczesne stosunki polityczne sprawiły, że doktryny manczesteryzmu, głoszące zasadę wolności, oddziałały bardzo silnie na młodociane umysły. Ale dni małego Bonaparta były policzone, nastała swoboda, która w praktyce okazała oblicze nieco odmienne od przyrzeczonego. Zwłaszcza zaś rzuciły im się w oczy skutki wolności w zakresie spraw gospodarczych. „Nie zauważyliśmy, ażeby swoboda sama przez się dawała rezultaty dla interesu ogółu najodpowiedniejsze. Swoboda handlu wytworzyła tę masę pośredników, którzy gnębią wytwórcę, kupując od niego towar po zbyt niskiej cenie, dalej spożywcę, któremu sprzedają zbyt drogo, wreszcie rujnują siebie wzajemnie, gdyż są zbyt liczni. Widzieliśmy, że zniesienie koncesyi na sprzedaż trunków w zastraszający sposób powiększyło ilość szynków, wytworzyło nieznaną dawniej we Francyi klęskę alkoholizmu. Widzieliśmy swobodę produkcyi, która tak wzorowo ułożyć się miała dzięki przyrodzonemu prawu podaży i popytu.. Ta swoboda wywołała przesilenie, które stało się stanem chronicznym... Nie trzeba być ekonomistą, aby dostrzedz, że interes osobisty nie zawsze bywa zgodnym z dobrem społecznem, wniosek ten wynika z faktów życia codziennego.“

Ekonomista francuski popiera swoje założenia paru przykładami, które, trzeba mu to przyznać, wybrał zręcznie. Pasażer wsiada do wagonu, zajmuje dla siebie kącik, w drugim kładzie torbę podróżną, okrycie umieszcza w trzecim, wreszcie pozostały kąt zastrzega, stawiając tam parasol. Gdy ktoś z nadchodzących zapyta, czy miejsca są zajęte, odpowie: nie wiem, jeżeli należy do osób dobrze wychowanych. Jeżeli nie, to powie, że zajęte. Łapiemy tutaj interes osobisty na gorącym uczynku. Podróżni z przyjemnością powitają wtedy czapkę konduktora, przedstawiciela interesów ogółu i sprawy publicznej, który, usuwając godła posiadania, zrobi miejsce pasażerom i zmusi zawstydzony indywidualizm do zadowolenia się swoim kącikiem.

Albo przykład inny. Jesteś w Paryżu i czekasz sposobności przejścia na drugą stronę ulicy. Wóz jedzie za wozem bez przerwy. Po paru nadaremnych próbach cofasz się na chodnik i może pocieszasz się filozofując w duchu szkoły liberalnej: „Po co przeklinać? Spieszę się, ale powozy równie się spieszą, dlaczego miałyby stawać dla mojej przyjemności? Jadą one swoją drogą, całe nieszczęście, że drogi nasze się krzyżują. Trzeba się z tem zgodzić i pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Ledwie mnie nie rozjechały — może. Po wszystkie czasy jeżdżący powozami gnietli tych, którzy chodzą piechotą, zwłaszcza niezręcznych. Nie trzeba być niezręcznym.“ Ale nadchodzi policyant, zatrzymuje powozy ruchem ręki i otwiera przejście.

Wniosek z tych przykładów jest prosty: zaufanie do wolności w zakresie gospodarstwa narodowego zmniejszało się wśród młodych uczonych, natomiast coraz jaśniej zarysowywało się pojęcie o państwie, jako potędze, która powinna wtrącać się w bieg spraw ekonomicznych i na wodzy trzymać nadużycia. Utwierdzili się w swoich poglądach, badając dzieje instytucyj społecznych. Zauważyli, że państwo bynajmniej nie staje się organem bezużytecznym, ale owszem czynność jego coraz większa, sfera działalności obszerniejsza, pożytek zaś — rozleglejszy.

Ta wiara w państwo stanowi pierwszą cechę szkoły nowej. Drugą z kolei jest kwestya metody. Dawna ekonomia zajmowała się tem, co stale istnieje, tymczasem młody odłam ekonomistów, który odbiegł od starych bogów manczesteryzmu, zwraca główną swoją uwagę na to, co w życiu ekonomicznem ulega przekształceniu. Szkoła dawna roztrząsała fakty gospodarcze i istniejące urządzenia w stanie równowagi — w stosunkach wzajemnego wpływu i jednoczesnego bytu. Nowa bada te zjawiska w stosunkach ich następstwa, z punktu widzenia, jak stare instytucye zwolna przeobrażają się, przechodząc w nowe, coraz odrębniejsze od pierwowzoru. Zajmując takie stanowisko, reformatorzy nauki ekonomicznej, przy badaniu urządzeń gospodarczych, używają metody historycznej, gdyż tylko z historyi dowiedzieć się można, jakim zmianom one, tj. urządzenia, podlegały w przeszłości i jakie przyczyny wytworzyły z nich to, czem są dzisiaj. Znajomość przeszłości jedynie wytłomaczyć może zjawiska doby obecnej oraz niekiedy pozwoli przewidzieć przyszłość. Gide w tym punkcie zaznacza swoją różnicę od realistów niemieckich, którzy hołdując tylko metodzie historycznej, wyłączają wszelką dedukcyę: ekonomista francuski twierdzi o niej, że jest niezbędną dla uporządkowania i zrozumienia faktów. Słowem, szkoła nowa, zgodnie z duchem filozofii nowoczesnej, usiłuje w ekonomii politycznej pojęcie stałości zastąpić pojęciem ruchu.

Inną jej cechą jest wzajemne zlewanie nauki i sztuki, teoryi i praktyki. Szkoła klasyczna ustanawia wyraźną granicę pomiędzy jedną a drugą. Nauka — powiada on — nie daje przepisów, ani nie radzi,

---

je, duszę moją, a ja widzę, że plam tych coraz jest więcej na śnieżnej sukience, którą czystą zachować chciałam?“

W czternastym roku pisze proroczo:

„Ach, jakże jestem niecierpliwą! Czas mój przyjdzie, wierzę w to przecież, a jednak coś szepce mi, że to nieprawda, że całe życie moje strawię na czekaniu, na ciągłem czekaniu. Czekać!... czekać!...“

W szesnastym roku podczas przygody z siostrzeńcem kardynała:

„Jeżeli tak ładną jestem, jak sama sądzę, dlaczegoż mnie nie kochają? Patrzą się na mnie, ale nikt mnie nie kocha. A tak mi tego potrzeba, żeby mnie ktoś kochał.“

Siedemnasty rok życia rozpoczyna notatką:

„Kiedyż nareszcie wiedzieć będę, czem jest ta miłość, o której tyle mówią?“

Później: „Głęboki mam wstręt dla siebie samej. Nienawidzę wszystko, cokolwiek czynię, mówię, piszę. Mam nienawiść dla siebie, ponieważ nie usprawiedliwiłam żadnego z moich oczekiwian. Zawiodłam się.“

„Jestem głupia, nie posiadam taktu, nigdy go nie posiadałam. Uważałam się za dowcipną, jestem niesmaczną. Uważałam się za odważną, tchórzem jestem. Myślę, że mam talent — nie wiem, czem tego dowiodłam!“

W osiemnastym roku:

„Istnieje coś prawdziwie pięknego, klasycznego: — owe dobrowolne ukorzenie się kobiety przed wyższością ukochanego mężczyzny musi być największą rozkoszą egoizmu kobiety wyższej?“

W 1882 r., w początkach choroby swojej:

„Jestem tedy chorą na piersi. I to dopiero od dwóch, trzech lat. A do śmierci jeszcze tak daleko... Dobrze, niech mi dadzą dziesięć jeszcze lat, a w tych dziesięciu latach—sławę lub miłość i w trzydziestym roku umrę zadowoloną?“

W dwudziestym trzecim roku:

„Nic, nigdy zakochaną nie byłam i nigdy się już nie zakocham; mężczyzna musiałby być tak wielkim, aby mi się obecnie mógł podobać, takie mam duże wymagania... A zakochać się poprostu w ładnym chłopcu, nie, niepodobna? — Miłość nie zdołałaby już pochłonąć mnie całkowicie; byłaby dodatkiem, uwieńczeniem gmachu, przyjemnym zbytkiem! — Myśl jakiegoś obrazu lub posągu częstokroć sen z powiek mi spędza, co nie zdarzało się nigdy, gdym myślała o ładnym mężczyznie.“

„Kogo mam pytać? kto będzie szczerym? Kto będzie sprawiedliwym? Ty nią będziesz, jedyna moja przyjaciółko, ty szczerą przynajmniej będziesz, bo mnie kochasz. Tak, tylko ja samą siebie kocham, ja jedna!“

Portret jej przedstawia twarz, o prawdziwie małoruskiej piękności: gęste, ciemne brwi, o linii nierównej, zakreślonej nizko nad oczami bardzo daleko od siebie osadzonemi, co nadaje twarzy wyraz jakiejś przedziwnej otwartości i wielkości. Spojrzenie, jakby w zadumie, w dal biegnące, nosek krótki o rozchylonych nozdrzach, usta pełne, o namiętnie zaciśniętej wardze górnej. Owal okrągły, jak u dziecka. Szyja krótka, silna, spoczywająca na krzepkiem, pełnem ciele.

(D. c. n.).



tylko tłomaczy zjawiska. Kwestya społeczna dla niej nie istnieje, popierwsze gdyż nic nie można uczynić, lecz należy rzeczy pozostawić własnemu biegowi, powtóre zaś odpowiadać na to zagadnienie jest zadaniem nie ekonomistów, ale polityków i filantropów. Byłoby podobnie niedorzecznem pytać ekonomistów, w jaki sposób można podnieść zarobki — jak prosić profesora biologii o lekarstwo na tyfus. Szkoła nowa staje na przeciwległym biegunie. Uważa ona, że trzeba coś robić, bo roboty jest bardzo wiele, następnie że środki zaradcze należą także do nauki, bo ucząc nas, jakim jest bieg rzeczy, oraz w jakim kierunku dzieje rozwijały się dotąd, zdoła także nam wskazać, do jakiego celu dążyć winniśmy i jakie rezultaty osiągnąć możemy. Sztuka jest nieodłączną od nauki, praktyka od teoryi.

Czwartą wreszcie cechą, która szkołę nową wyróżnia od dawnej, jest zupełnie odmienne pojmowanie jednostki oraz samego celu życia. Dla manczesteryzmu indywidualizm jest równoznaczny może nie tyle z samolubstwem, ile z samopomocą — *self help* jest jego hasłem. Nie przeczy on istnieniu interesów zbiorowych, społecznych, ale usuwa je na plan drugi. Niech każdy myśli o swoich sprawach osobistych, oto pierwszy artykuł wiary ekonomistów szkoły liberalnej; takie postępowanie będzie dobrem również dla interesów ogółu — tak brzmi drugi. Młody odłam zgadza się na tamte hasła, ale żywi wątpliwości co do ostatniego. „Dbamy o rozwój indywidualności i jednostki ludzkiej — mówi Gide — nie mniej, niż szkoła liberalna i radzilibyśmy patrzeć na jej postęp, wszechstronność i rozwój. Sądzimy, że istotnie ewolucya idzie w tym kierunku, ku rozkwitowi indywidualności. Ale jakkolwiek jesteśmy zwolennikami ewolucyi, odrzucamy jednak teoryę Darwina, uważając, że głównym czynnikiem rozwoju nie jest współzawodnictwo, które niszczy życie, ale współdziałanie, które je podtrzymuje, nie wojna, ale miłość. Nie przyjmujemy również, ale sprzeciwiamy się wstrętnemu sofizmatowi, który utożsamia indywidualność z indywidualizmem. Rozwój osobniczy nie jest tem samem, co rozwój indywidualizmu, a nawet stoi z nim w pewnej sprzeczności... Indywidualizm, toześrodkowanie istoty, która opiera się sama na sobie; indywidualność zaś, to rozkwit istoty, która rozwija się zewnątrz.

Od socyalizmu szkoła nowa różni się tem, że nie wierzy w możliwość zupełnego zniknięcia własności prywatnej, nawet gdy chodzi o narzędzia pracy, zniesienie bowiem jej przeczy rozwojowi indywidualności. Nadto nie może się ona pogodzić z myślą gwałtownego wywłaszczenia tych, którzy coś posiadają. Równie dzieli ją przepaść od doktryn le Playa, które polegają na poszanowaniu powagi: nie ufa ona dobrodziejstwom organizacyi ojcowskiej i przenosi nad nią braterską.

Gide porównywa dzisiejszy przewrót w nauce ekonomicznej ze skutkami *fonnu*, ciepłego wiatru, który swojem nastaniem zwiastuje w górach szwajcarskich bliskość wiosny; topi na wierzchołkach i stokach śniegi i lody, zamienia je w tysiące strumieni, które schodzą w doliny, uradowane, że wyswobodzono je z mroźnego więzienia i że mogą zdziałać coś dobrego i użytecznego na świecie, chociażby to były drobne usługi, jako odświeżenie źdźbła trawy i obracanie koła młyńskiego, które daje chleb ludziom. Taki *fonn* wieje obecnie w ekonomii, w tych sferach niedostępnych, gdzie nauka bezczynnie spoczywała ponad padołem nędzy ludzkiej, na wysokości wiecznych śniegów. Ten powiew topi stare doktryny manczesteryzmu i zmusza je z wyżyn zstąpić bardzo nizko, aby posłużyły na dobre i przeniknęły w jądra życia narodowego. „Wiemy, kończy Gide że unosi nas wartki strumień zmian i postępu. Nie łamiemy przecież rąk, jęcząc i zawodząc, że zdążamy ku przepaści i że winniśmy użyć wioseł, aby powrócić w górę rzeki, jak to czynią przerażeni zwolennicy szkoły le Play'a. Nie będziemy równie okazywali radości, oznajmiając, że nam jest bardzo dobrze tam, gdzie jesteśmy w tej chwili, i gdzie trzeba zarzucić kotwicę i rozbić namiot, jak to czynią zadowoleni optymiści szkoły liberalnej. Nie wołamy również, że należy wysadzić w powietrze nawę, niosącą nas, tę starą nawę, nieprzydatną już, która nas wszystkich zatopić może, jak to czynią rzecznicy socyalizmu rewolucyjnego. Co do nas, to bez obawy damy się unosić biegowi rzeki, jakkolwiek wiemy, że nie doprowadzi ona nigdy do celu podróży, pomagamy sobie wiosłem i żaglem, wyglądając niecierpliwie, czy na najbliższym zakręcie rzeki, może w końcu tego wieku, nie ujrzymy perspektywy świata, piękniejszego niż ten, którego cienie uciekają po za nas."

LITERATURA I SZTUKA.

Kazimierz Gliński

W NAJŚWIEŻSZYCH SWOICH POWIEŚCIACH.

II.

Osnowa „Tarantuli" ma w sobie coś tajemniczego i tragicznego. Możnaby mniemać, że pomysł do niej powstał w dalekim, zabłąkanym na szary nasz widnokrąg odblasku ponurej bajeczności Eugeniusza Sue. Postać główna, żyd Nojech Abramowicz z Raszewa, pospolicie przez chłopów zwany „tarantulą," posiada nietylko szatańskie instynkty Rodin'ów, ale też i piekielną ich przebiegłość. U wspomnianego pisarza francuskiego podstępny i zdradliwy ów rozum jest wprawdzie natury towarzyskiej, wytworzonej sztucznie, wyćwiczonej według reguł jezuickich; u Glińskiego ma on charakter rodowy, plemienny, o tyle tylko przypominający dyscyplinę sekciarską, o ile judaizm nieodmiennie wiązać się ma z talmudyzmem. Ale, z dwojga złego, wybralibyśmy raczej Rodina, niż Tarantulę. Szkołę i sektę mogą wziąć dyabli; z krwią zatrutą i mózgiem skołowaciałym — robota bez porównania cięższa.

Przekonać nas o tem powinna prześliczna, niewielkich rozmiarów scena, która da zarazem możność ogarnięcia jednym rzutem oka głównej dźwigni zdarzeń powieściowych.

Ojciec Tarantuli czuje się na schyłku żywota i wzywa do łoża trzech synów, Moszka, Szlomę i Nojecha, do których przemawia jak patryarcha, wskazujący osobno każdemu, według jego zdolności, zadania, ziemie i role. Szlachta i panowie wogólności — powiada — siedzieli niegdyś na swych dziedzictwach mocno, jak zęby trzonowe, dziś chwieją się, jak belki w starym dachu. Dawniej obcęgami nie można było zęba wyciągnąć, teraz belki same wylazą. Kto mądry, ten wie, jak i co robić, ażeby wszystkie to belki dla siebie powyciągać. A nie jest to żadne szelmostwo, ani żaden rozbój, tylko interes. Jeżeli ty jesz, drugi chudnąć musi koniecznie, a jeżeli on chudnie umyślnie w tym celu, ażebyś ty był tłusty, to co tobie do tego?.. Wszyscy wy, synkowie najmilsi, macie brzuchy jednakowe, spokojny więc jestem o to, czy jeść potraficie, ale głowy wasze są różne. Dlatego to ja, dzieci moje, każdemu z was inne belki daję. Ty, Moszku, delikatny jesteś i bojaźliwy, więc weźmiesz pana Komarnickiego z Suchej Grobli. Z nim żadnej machinacyi nie trzeba, żadnego myślenia nie trzeba. Podoba się jemu komoda, to on taki weksel wystawi, że ty cały folwark za niego kupisz. Oto dlaczego daję ci pana Komarnickiego. Ty, Szloma, kłaniać się lubisz i wiesz, przed kim na dziesięć sążni czapkę zdjąć, to weź sobie grafa Zbreżańskiego. On dla konia, co jak chart skacze, poduszkę wyciągnie umierającej matce z pod głowy, a wyścigu nie chybi. Tobie, Nojech, trzonowy ząb został, ty Zagaje posiądziesz od pana Jana Murskiego. Moszek uciekłby od niego, jak od naboju w strzelbie, Szloma nie dostałby od niego i rubla za kłanianie się, komody on nie kupi, do jazdy używa koni zwyczajnych. Ja sam nie dobrze wiem, co z nim czynić, żeby interes zrobić. On boso chodzić potrafi i o śledziu z kartoflem przez rok okrągły żyć potrafi, byle tylko Zagaje jego były. Ale on nam niegdyś pomagał, on naszym dobrodziejem został. On wierzący jest i dlatego głupi. Jemu się zdaje, że wdzięczność wśród ludzi chodzi i nie wie, że jeszcze dziecko podobne nie urodziło się na ziemi... Ale on taki—i trzeba, żeby zawsze był taki. I dlatego to, Nojech, tobie z nim się zmierzyć przypadło; ty masz łeb twardy, ręce długie, kark jak u Szlomy giętki, rozum i język jak u szczwanego lisa wyprawny. Ty byłeś w Besarabii, ty na rumunach i bułgarach nauczyłeś się drzeć łyko ze skóry, tobie robota na własnych śmieciach w ręku palić się musi. Dlatego ty dostajesz Zagaje pana Jana Murskiego...

Z akcyi Gliński pogardliwie usunął grafa Zbreżańskiego wraz z jego komodą i dziedzica Komarnickiego z jego sportem angielskim. Nie trudno się też domyśleć, że w Zbreżance i na Suchej Grobli gospodarują obecnie Moszko i Szloma. Wyprzedali landary z czasów Stanisława Augusta, powyrzucali ze złoconych ram portrety jego przyjaciółek, tenutę dzierżawcom podnieśli z 5 rubli na 12 na morgą, park ogrodzili i na miejscu pokrzyw chmiel w nim wyprodukowali, propinacyą zajęli się sami, gorzelnię oddali zięciom, w oborze, przy gołębnikach i nad kurnikami posadzili córki, chłopów zaprzęgli do gnoju, do wypalania cegieł z gliny, którą dotąd tylko nierogacizna ryjami pruła — i oto dziś, jeżeli komu kłaniać się jeszcze potrzebują na mniejszą lub większą odległość, to chyba pp. naczelnikom akcyzy, straży ziemskiej i pogranicznej. Na widnokręgu powieściowym spotykamy tym sposobem jedynie rodzinę Murskich (ojciec Jan, syn Władysław, córka Aniela, ciotka Felicya) tudzież najbliższe tej rodziny sąsiedztwo, na które się składają: młody i zacny p. Stanisław Rabsztyński z Rabsztyna, ziemianin zawołany, prawnik na wypadek potrzeby, głowa nie dla proporcyi, zajęta dość poważnie Anielką; dalej hrabianka, czy nawet hrabina Amelia primo voto X, secundo Y., tercio Z. — a *in spe* pani Władysławowa Murska; jeszcze dalej (nie sercem, tylko przestrzenią) Potulińscy z Malinek, u których jest Zosia, dziewczę w pełni wyrazu nasze, dobre, szczebiotliwe, słodkie i nawet, na pozór, wielce rezolutne, lecz kryjące się ze swą miłością dla Stacha Rabsztyńskiego, jak ze szkaplerzykiem na swej piersi łabędziej; najdalej wreszcie, jacyś Koszmirscy, jacyś Pietruszyńscy — jedni niby bąki, drudzy niby osy, bzykające pod jesień w pajęczej siatce tegoczesnych powszednich naszych kłopotów. W Raszewie mocno plecami oparł się o szafę z kosztownościami ojcowskiemi Nojech Abramowicz i zerkając żółtemi ślepiami na przybywających do miasteczka gości, wygrzewa się tymczasem w resztkach dogasającego słońca.

Ostre mogą być pazury i wielce rozczynna ślina pewnych gromad owadożerczych, ale jeszcze grubszą skóra i oporniejszymi mięśnie ofiar upatrzonych. Bywają przy-

tem zdarzenia i okoliczności, w których najlichsza poczwarka, jak zaczniesz ją kłuć, popychać, odwracać, nawracać drażnić i męczyć, nakryje się nagle pancerzykiem takim, że już później dla niej wszystko jedno, czy ją oblewasz jadem z pyska, czy z ogona.

Murscy, gdy się walka zaczyna, zdają się być należycie opancerzeni. Zagajo są umiarkowanie odłużone, mają las nietknięty, czysty jak złoto, w domu panuje względny spokój, porządek, czujność. Stary pan Jan opuścił się był trochę z gospodarką po stracie ukochanej żony, ale się obejrzał w porę; dziś od świtu do nocy na zagonie. Straszliwie upalne lato przyspieszyło zbiory, robotnik trudny, gotówki na jego opłacenie brak zupełny, a tu jeszcze na dobitkę zbliża się powoli termin rozrachunku z Koszmirskim. Suma ostatecznie marna, ale dokument, zabezpieczający punktualność jej zwrotu — za groźny. Niema innej rady: trzeba jechać do Raszewa. Na Abramka liczyć można, jak na Zawiszę... Okazało się, że nawet więcej i pewniej. Syn Abramka, Nojech, nietylko pieniędzy ile powiesz da, ale już zawczasu wykupił od Koszmirskiego weksle, obostrzenie zaś złowrogie zdarł w oczach rozrzewnionego pana Jana. Wierzytelność w łapie Tarantuli zaokrągliła się, odsetek naznaczono normalny, po naszemu normalny, to znaczy, dorzynający dłużnika nożem tępym, ale niechybnie.. Wszystko to furda, powiadał sobie w duchu stary Murski. Lasu nie dam, Władek nauki skończył, pracę podwoimy, Rabsztyński coś tam podobno w Anielce...

Spowiedź to najsumienniej ścisła, obliczenie co do kopiejki rzetelne. Na drodze dyplomacyi finansowej Nojech Abramowicz posunąć się może—i posunąć z pewnością nie zaniedba do granic bodaj bismarkowskich: nadszarpnie w ostateczności las, ale Zagajów nie dostanie nawet wtedy, gdy je postawi nad przepaścią, a postawiwszy zręcznie w stanowczej chwili podpali brogi i gumna z krestencyą. Ruina materyalna staje się stanowczą i nieodwołalną dopiero wtedy, gdy gmach popękany i podkopany zapada w pustkę — moralną. Nojech wie o tem doskonale i odpowiednie sondy gdzie się dało już zapuścił. Nie widać dokładnie z opowiadania, kiedy mianowicie po raz pierwszy, zacierając ręce, wykrzyknął: *eureka!* ale węch jego sięgający do rdzenia istoty naszej społecznej, od wstępu, od pierwszej doby operacyjnej naprowadził go zapewne na trop, że to musi być kobiecość. Nie odrazu też odgadł, że tym razem kobiecość przywdziać ma na siebie sukienkę babiego lata, ukazać się pod postacią przedziwnie uroczych zmarszczek hrabiny Amelii. Jest gdzieś wśród dyalogów ofuknięcie Nojecha czy któregoś z jego pomocników: „Nu, cóż z tego, że pan Władysław w hrabinie się kocha? Albo to on jeden, albo to on dwa, albo to on trzy, albo to on dwadzieścia? Nie ma on po co jechać do Herkulanum i Pompei, żeby takie rzeczy w malowidle zobaczyć, można to mieć na swoje kanapkie..." Władek jednakże pojechał, podjąwszy u Tarantuli kwotę niezbędną,—i oczywiście, po niejakich korowodach listownych z domem, w łeb sobie palnął.

A Murscy?... Nie trzeba docierać aż do tego pytania, po którem kurtyna zapada, aby dostrzedz grubą fałdę cienia włóczącego się pomiędzy aktami od chwili romansu Władysława z Amelią, zawiązanego u drzwi jej sypialni. Autor zapewnia w tytule, że powieść jego jest „prawdziwa." Niewątpliwie, ale dowodzi to tylko, że rzeczywistość bywa niekiedy tak niedołężną i nielogiczną, iż jej największy artyzm nie sprosta i nie połata. Artystycznie, wykazano z wystarczającą wypukłością powody, dla których Władysław nie mógł postąpić tak, jak sobie postąpił „jeden," „dwa"... „dwadzieścia." Rabsztyński wlazł w drogę. Pragnął on podobno podźwignąć wielce zaszargany majątek Amelii i w charakterze doradcy często ją odwiedzał. Urosła stąd pogłoska, że się w niej zakochał, a to z kolei podniosło hrabinę w oczach Władka i zarazem zasiało niepokój w duszy Anielki, jego siostry. Psychologicznie wszystko to daje się uzasadnić i zrozumieć. Ale żeby z podobnych oparów i tumanów, nawiniętych na rożek najpospolitszych kłamstw i najgrubszych faktorskich fałszów, Nojech Abramowicz ukręcić zdołał postronek na szyję ludzi dobrych, rozumnych, szczerych, kochających się, Stacha Rabsztyńskiego, Anielki Murskiej, jej ojca, w to już — niech tam sobie autor gniewa się ile chce — nie wierzymy nigdy. Od *tarantuli* ocala zaplątane w pajęczynie muchy — Zosia Potulińska. Czyni to ją bezwątpienia niezwykle piękną i wzniosłą; przeświadczenie jednak o realnem istnieniu świętości i poświęceń takich nie opiera się na wierze. To się czuje, to się widzi, — czuje się w snach na jawie, widzi się w dziełach mistrzów natchnionych. Najznakomitszym pisarzom krytyk większego słowa nie ma do powiedzenia.

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Ambroży Thomas, *Hamlet*, opera w 5 aktach, 7 obrazach. Słowa włoskie Achillesa de Laurières.

Słynna śpiewaczka, pani Calvé, grając rolę tytułową w najnowszej operze Massenet'a, „Dziewczyna z Nawarry" (*La Navarraise*), osnutej na tle wojen karlistowskich, zdobyła się w jednej ze scen na ruch takiej tragicznej grozy, że zadecydowano, iż powołaną jest do odtworzenia postaci — lady Macbeth. Skoro tylko takie postanowienie powzięto, pp. Claretie i Cain wnet mieli się zabrać do wykrojenia z szekspirowskiego dzieła odpowiedniego libretta, a Massenet, za namową p. Claretie'go, już gotów był pisać muzykę. I bylibyśmy niechybnie usłyszeli lady Macbeth, zawodzącą słodkiemi melodyami o „krwawych plamach, których zapachu uniecestwić nie mogą wszystkie wonie Arabii" — i samego Macbetha, „wyrzucającego" wysoką nutę na widok Bankowego ducha — gdyby nie prasa. Gdy ukazały się pierwsze o tym zamiarze wiadomości dziennikarskie, *Journal des Débats* wystąpił ze stanowczym protestem przeciw „odśpiewywaniu" szekspirowskich arcydzieł, poszły za jego przykładem inne pisma i pod tym naciskiem ustąpili pp. Massenet, Claretie i Cain — opery „Macbeth" pisać nie będą.

Nie wiemy, czemu właściwie „Hamlet," pięcioaktowa opera Ambrożego Thomas'a, zawdzięcza swoje powstanie, czy również jakiemu (tym razem chyba nie tyle „tragicznemu," ile „filozoficznemu") ruchowi lub wyrazowi oblicza słynnego śpiewaka — to tylko stwierdzić możemy, iż źle się stało, że przed laty trzydziestu prasa nie roznosiła tak skwapliwie wieści o zamiarach kompozytorów i pisarzy — może i Thomas byłby posłuchał opinii publicznej.

Różnymi czasy różni kompozytorzy sięgali do skarbnicy arcydzieł literatury wszechświatowej po libretta do oper. O ile wybierali je z pośród utworów, których treścią główną jest miłość, zamachy te pomyślnym uwieńczane bywały skutkiem. Losy Romea i Julii, opowiedziane mową dźwięków, niczem nie rażą; walka szarpanego zazdrością Otella, oddana frazesami muzycznymi, nie obudzi myśli o niewłaściwości wyrażania melodyami uczuć podobnych, zwłaszcza gdy zadanie podejmie geniusz tej miary, co Verdi. Świętokradztwem wszakże wprost nazwalibyśmy zamachy muzyków i librecistów na arcydzieła takiego szerokiego jak „Hamlet" znaczenia. Bo czyż najwytrawniejszy muzyk może sobie wyobrazić melodyę, któraby oddać potrafiła całą głębię monologu „być albo nie być," lub rozmyślań nad czaszką na cmentarzu? Ponieważ jednak nie brak nigdy na świecie ludzi, z motyką porywających się na słońce, nie braknie też i — partycyj operowych do „Hamleta." Na repertuarze zdołał się wszakże utrzymać tylko Thomas ze swojem dziełem, do którego przykroili mu odpowiednie Shakespeare'a pp. Carré i Barbier.

Oczywista rzecz, iż libreciści musieli się zastosować do wymagań operowych, więc, między innemi, usunęli wiele monologów bohatera, darowali życie Poloniuszowi, upiększyli baletem scenę śmierci Ofelii, wreszcie nie pozwolili Hamletowi zginąć w pojedynku, lecz kazali mu nad zwłokami Ofelii przebić szpadą króla i uwieńczyli mu skronie królewską koroną; nadto tu i owdzie nie żałowali własnych pomysłów, całkiem od pierwowzoru odbiegających.

Wszystkie te zmiany jednak nie ułatwiły zadania muzykowi — pierwiastek tragiczny pozostał taki silny, że lirycznego zakroju talent Thomas'a sprostać zadaniu nie zdołał. Twórca „Mignon" i „Rajmunda" wybornym jest tłomaczem subtelnych uniesień serca, znakomicie wypowiadać potrafi melodyą uczucie tęsknoty, czego dowodem pieśń Mignon „Znasz-li ten kraj"; w instrumentacyi i opracowywaniu motywów majster to wielki, ale nie stać go na siłę wyrażenia dramatycznego, nie obdarzyła go natura środkami, mogącymi odtworzyć sytuacye pełne grozy. Mimo to zapragnął zilustrować muzyką utwór, wymagający talentu wprost przeciwnego rodzaju, i stworzył dzieło, niepozbawione niewątpliwie pięknych urywków, ale w głównych zarysach — poronione, bo duchem treści nieodpowiadające.

Niepodobna nam tutaj rozbierać szczegółowo całej partyi, — zresztą taki drobiazgowy rozbiór, to cześć należna tylko arcydziełom. Więc zaznaczymy, że najlepszymi ustępami wydały nam się: W akcie I-szym, scena „esplanadowa," posiadająca dużo odpowiedniego charakteru i kolorytu; oryginalnym jest w niej pomysł recytowania na jednej nucie słów zemsty przez ducha ojca Hamleta. W akcie II-gim wdzięczną jest pieśń Ofelii, a jednym z najszczęśliwszych momentów całej partycyi *brindisi* Hamleta,—nader melodyjne, pełne werwy i kunsztownie opracowane. Do monologu „Być albo nie być," zamieszczonego przez librecistów w akcie III-cim, zabrakło autorowi frazesów muzycznych, wyróżniających się jakąkolwiek odrębnością. Wychodzi też blado i przemija bez wrażenia. Silną bardzo natomiast jest scena między matką, a synem, w tymże akcie; melodya posiada tu cechę dramatyczną, zadziwiającą u Thomas'a. Scena obłąkania Ofelii w akcie IV-tym, powiodła się kompozytorowi najzupełniej, — tu stanął on całkowicie na wysokości zadania. Stworzył obraz pełen poetycznego wdzięku, a prześliczna ballada Ofelii, osnuta na motywie znanej ludowej pieśni szwedzkiej, jest najcenniejszym numerem całej partycyi. Melodyę tę powtarza za sceną chór *murmurando* (nucąc z zamkniętemi ustami bez tekstu), w chwili gdy Ofelia tonie, co sprawia wrażenie głosów wabiących ją do fali syren. Efekt znakomicie pomyślany i równie dobrze przeprowadzony. Co za szkoda, że poprzednio odtańczony balet,—nudny jest zarówno muzycznie jak choreograficznie,— psuje wrażenie całości. Ale bo też co za pomysł te tańce nad zemdloną w przystępie obłędu Ofelią! Akt V-ty przewlekły jest i nie wraża się w pamięć żadnym wybitniejszym ustępem. Sceny zbiorowe, marsze tryumfalne, chóry, których w par-

tycyi jest sporo, niemal wszystkie rażą banalnością.

Tytułową partyę przeznaczył Thomas barytonowi, i tu okazało się, że łatwiej o dobrego tenora niż o barytona. „Hamlet" zjawia się na repertuarze gdy są śpiewacy tej miary co Faure, Lassale, Maurel i Battistini. Dla ostatniego z nich wystawiono tę operę, i u nas poraz pierwszy,—pomimo 30-letniego jej istnienia,—w sezonie bieżącym, i napewno niemal twierdzić można, że po wyjeździe p. Battistini'ego zejdzie ze sceny,—nie tak prędko bowiem znajdzie się śpiewak, któryby zadaniu temu sprostał.

P. Battistini okazał się nietylko pod względem wokalnym znakomitym przedstawicielem Hamleta; dzisiejszych wymagań naszych nie zadawala samo *odśpiewanie* roli. Artysta czuje to dobrze i gra jego aktorska stoi na wysokości jego śpiewu. Królewicz duński w interpretacyi jego, to „postać" skończona, jednolita, przeprowadzona konsekwentnie od początku do końca. Śpiewać hymny pochwalne na cześć jego głosu to rzecz zbyteczna; p. Battistini nie poraz pierwszy gości na naszej scenie,—znane jest szlachetne brzmienie głosu jego, dźwięk metaliczny, wzorowa emisya i mistrzowskie frazowanie. Wszystkie te zalety ujawniły się całkowicie w roli Hamleta; w scenie z matką nadto porwał artysta niepospolitą dramatyczną siłą.

Krzywda tylko stała mu się wielka, że rola matki przypadła w udziale pani Guercia, jak wogóle krzywda się dzieje i kompozytorom i słuchaczom za sprawą tej śpiewaczki. Na początku obecnego sezonu operowego zdarzył się fakt rzadki w naszych kronikach teatralnych — „zaprotestowano" tenora, p. Lucignani'ego, który, zaangażowany na szereg występów, okazał się śpiewakiem... bez głosu. Zerwano z nim kontrakt i tenor wyjechał. Pani Guercia uniknęła takiego „protestu" — chyba przez wzgląd na swoją niepospolitą urodę, scena jednakże nie jest, a przynajmniej nie powinna być, areną konkursu piękności. Niesprawiedliwością byłoby powiedzieć, że artystka wcale nie posiada głosu — przeciwnie, „wyrzucane" od czasu do czasu krzykliwe tony świadczą, że natura obdarzyła ją organem niemałej siły i dość rozległej skali. Wobec jednak całkiem wadliwej emisyi — właściwie ma ona do rozporządzenia emisyj kilka — fałszywego postawienia głosu i wogóle braku wszelkiej szkoły, śpiewaczka staje się na scenie wprost niemożliwą. Usiłuje wprawdzie braki te powetować grą aktorską, ale gra znów tak zawzięcie, oczami, ustami, głową, rękami, całą wreszcie postacią, że przechodzi w najpospolitszą szarżę. Nieudolność urodziwej śpiewaczki najjaskrawiej uwydatniła się w roli Azuceny w „Trubadurze," gdzie, przedzierzgnięta w starą cygankę, pozbawiona została jedynej zalety, jaka usprawiedliwia jej obecność na scenie.

Natomiast godną w zupełności partnerką p. Battistini'ego była panna Pacini, która rolę Ofelii do najlepszych w repertuarze swoim może zaliczyć. Głos posiada niewielki, ale jak doskonale wyrównany, jaki czysty w intonacyi, z jaką pewnością i jak oględnie atakuje najwyższe nuty, z jaką wprawą pokonywa wszelkie koloraturowe trudności. Przytem umiała wlać w postać Ofelii dużo poezyi i naturalnego wdzięku; balada w scenie obłąkania wykonana była prześlicznie. Króla odśpiewał p. Sillich, imponujący zawsze potęgą swojego pięknego głosu, zawsze z równą flegmą odtwarzający monarchów i kardynałów, z jednakim, niezamąconym spokojem śpiewający przy ostrzeniu morderczego noża (Sparafucillo w „Rigoletto"), jak pod oknami Małgosi (Mefistofeles w „Fauście"). Partye pomniejsze odśpiewali pp. Crotti — duch ojca, Pini-Corsi — Laertes, Czernicki — Marceli, Kowalski — Horacy, Siwicki — Poloniusz, Szaniawski i Kwieciński — grabarze.

Na dekoracye i kostiumy nie szczędziła dyrekcya kosztów — wystawa „Hamleta" jest bogata, gustowna i bardzo stylowa.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Rozprawy naukowe: M. Margulies: „Die Aufgaben der bevorstehenden Conferenz zur Revision der Berner Uebereinkommens," str. 16; W. Lutosławski: „Ueber die Echtheit, Reihenfolge und logische Theorien von Platos drei ersten Tetralogien," str. 56. Jest to streszczenie obszernego dzieła, które ma wyjść po polsku. Dr. J. Tchórznicki: „Pilne sprawy hygieniczne," str. 259.

— Kalendarze: *Myśliwski*, wydawany stale i z wielką starannością przez B. Ronczewskiego; *Powszechny*, znany rocznik księgarski T. Paprockiego; A. Strzeleckiego *Kalendarz rolniczy*, w dwu częściach, jako notatnik i zbiór artykułów.

— Powieści: Z. Kowerska: *Iluzya* (str. 200); M. Rodziewiczówna: *Na wyżynach* (str. 381); E. Orzeszkowa: *Melancholicy*, nowele (t. I str. 278, II—312) — nakłady Gebethnera i Wolffa. W. Marrené: *Przeciw prądowi* (t. I str. 393, II—337), Lwów, Jakubowski i Zadurowicz.

— W seryi „Gospodarstwo piwniczne" K. Niklewicz opracował *Kiperstwo* (str. 255), nakład autora.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała swój *Katalog utworów muzycznych*.

— Dla dzieci: K. Drzewiecki: „Spacery z panem Karolem," str. 94.

— *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł zeszyt 51.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNEK JEDENASTOLETNI.

Prawie przed jedenastu laty t. j. 26 stycznia 1885 r., p. A. Makowiecki na jednem z posiedzeń zaznaczył potrzebę otworzenia takiej ilości szkół w Warszawie, aby wszystka młodzież rzemieślnicza znalazła w nich stosowne pomieszczenie i przez sześć godzin tygodniowo mogła się kształcić. Proszono więc o udzielenie środków na to z kasy miejskiej, ale zabiegi rozbiły się o odmowę, pomimo, że miasto opłaca podatki szkolne, które powinny być całkowicie na oświatę oddane. Dla zbadania źródeł owych dochodów stworzono wtedy osobną delegacyę, która wyjaśniła, że szkół rzemieślniczych istnieje 22 z 43 klasami, na których utrzymanie magistrat wydaje rocznie 15,770 rs., t. j. na jednę klasę przeciętnie 366 rs. Terminatorów cechowych było 11,000, raport zaś inspektora rządowego wykazał, iż uczęszczało do szkół tylko 2,500 chłopców. Ponieważ w ogólnej cyfrze było 1,500 takich, którzy skończyli uczelnie początkowe jeszcze przed wstąpieniem do terminu lub chodzą do szkół krawców i szewców, więc najmniej 7,000 malców tej kategoryi było pozbawionych nauki elementarnej. Na r. 1886 magistrat przeznaczył dodatkowo 2,650 rs. na siedem klas, co mogło powiększyć liczbę uczniów o 300. Dla zapobieżenia brakom delegacya zaproponowała użyć lokale i nauczycieli początkowych szkół rządowych tudzież prywatnych. Taką drogą można byłoby zyskać miejsce przynajmniej dla 2,500 terminatorów w niedziele i dnie powszednie wieczorami. W tym celu usiłowano wyjednać po 240 rs. płacy dla każdego nauczyciela, na co trzeba byłoby rocznie około 14,400 rs. Wobec odmowy prezydenta ówczesnego, proszono urząd oddziału, ażeby zechciał kołatać bezpośrednio do władz wyższych o wyznaczenie ze skarbu państwa funduszów odpowiednich, w razie zaś odmowy, o zajęcie szkół elementarnych rządowych i prywatnych tudzież o opodatkowanie uczniów i majstrów na opłacenie pracy nauczycieli.

Gdy r. 1888 zatwierdzono ustawę zasadniczą szkół technicznych i rzemieślniczych, sekcya zajęła się tą sprawą ponownie i starała się zbadać, jakich szkół rzemieślniczych technicznych nam potrzeba i gdzie one powinny być zakładane. Jednocześnie postanowiono stworzyć delegacyę z osób obeznanych z pedagogią rzemieślniczą dla opracowania typu zakładów niezbędnych. Rezultatem były następujące wskazówki: z zakładów wspólnych mogą korzystać łącznie; w szkole dla rzemiosł budowlanych: mularze, kamieniarze, cieśle, malarze pokojowi, lakiernicy, szklarze i zduni. Nadto powinien być kurs zimowy dla czeladników po odbytej praktyce. Nauka rzemiosł drzewnych ma być rozdzielona na dwa odłamy; pierwszy dla stolarzy, krześlarzy, snycerzy i tokarzy, drugi dla bednarzy, kołodziejów i stelmachów. Nauka rzemiosł obrabiających metale rozpada się na dwa oddziały. Z pierwszego korzystać mogą: optycy, zegarmistrze, puszkarze, bandażyści, nożownicy, brązownicy, pieczętarze jubilerzy i złotnicy. Z drugiego: kowale, blacharze, kotlarze, specyaliści, wyrabiające przedmioty z drutu, guzikarze, mosiężnicy, odlewnicy, ślusarze, konwisarze, (t. j. fachowcy, mający do czynienia z cyną), pilnikarze i gwoździarze. Mają to być dla nich szkoły uzupełniające po odbytej praktyce. Dalej idą rzemiosła w zakresie szycia. Tu w dziale tkanin, potrzebna jest szkoła dla krawców, czapników, kuśnierzy, tapicerów i kapeluszników, druga zaś dla rzemieślników działu skórnego. Następnie pożądana wspólna uczelnia dla kucharzy, piernikarzy, cukierników i piekarzy i wreszcie osobna dla drukarzy tudzież litografów.

Po za tem delegacya owa ugrupowała szkoły uzupełniające w ten sposób: 1) elementarne ogólne, 2) uzupełniające wykształcenie fachowe, rozpadające się na cztery odziały: mechaniczne, chemiczne, budowlane i naukę szycia; 3) estetyczne, dopełniające poprzednie „rysunkiem wyższym." Wskazówki te przeznaczono dla zjazdu techników w Petersburgu. Jednocześnie z tą pracą sekcyi władza przepisała typy szkół techniczno-rzemieślniczych dla Cesarstwa i Królestwa, a zarazem prezydent warszawski zwrócił się do zarządu Oddziału z zapytaniem, jakie typy z określonych zakładów najodpowiedniejsze są dla naszego miasta. W odpowiedzi wymieniono: techniczne średnie, mechaniczne i chemiczne, niższe techniczne chemiczne i budowlane oraz rzemieślnicze z oddziałem drzewnym. Prócz tego pożądane byłyby: średnie budowlane, niższe mechaniczne i rzemieślnicze oddziału mechanicznego. Według zdania p. kuratora, dla Warszawy powinny być wystarczające: szkoła połączona średnia i niższa techniczna z działami w obu: mechanicznym, chemicznym i budowlanym. Nadto przy szkole miejskiej lub Konarskiego należałoby stworzyć rzemieślniczą z oddziałem wyrobów metalowych i drzewnych; otwieranie zaś szkół rzemieślniczych z innymi działami należy pozostawić inicyatywie prywatnej.

Na żądanie odpowiedniej władzy nowa delegacya, powołana z kilku sekcyj, uznała zakłady proponowane przez kuratora dla Warszawy, za dostateczne na razie; jednocześnie zaś dała właściwe wskazówki co do szkół, niezbędnych na prowincyi, mianowicie potrzebne są: niższe techniczne z jednym tylko oddziałem mechanicznym w Kaliszu, Płocku, Łomży, Lublinie, a w Częstochowie z dwoma oddziałami: mechanicznym i chemicznym. Nadto dla

naturalnych ognisk przemysłu drobnego, celem uzdolnienia robotników z ludności miejskiej i wiejskiej choćby w najniższych i najtańszych uczelniach, pożądane byłyby: w Kielcach lub Chęcinach szkoła rzemieślnicza specyalna z kierunkiem kamieniarsko-snycerskim, w Zduńskiej-Woli lub Pabianicach i Maryampolu tkacka, w Sokołowie lub Garwolinie — garbarsko-kuśnicza, w Ćmielowie lub Iłży ceramiczno-garncarska, w Zwoleniu stolarsko-modelarska, w Ostrołęce — stolarsko-snycerska, w Częstochowie—galanteryjno-metalowa, w Augustawie—koszykarska. Zresztą niezbędne są chociaż dwie szkoły rolnicze średnie, — jedna w Łomży, druga w Nowej-Aleksandryi. Wreszcie pożądane jest powiększenie liczby szkół miejskich i wiejskich, gdyż ukończenie przynajmniej dwu klas tych zakładów wymagane jest od kandydatów do szkół niższych technicznych.

Tak się przedstawiają dzieje prawie jedenastoletnich zabiegów sekcyi rzemieślniczej o naukę fachową i oświatę elementarną u nas. Czy są jakie rezultaty owych trudów, narad, powoływania różnych delegacyj i t. d?—Niestety prawie nic nie zrobiono, a „inicyatywa prywatna“ drzemie, jak drzemała dawniej. Na prowincyi powstała tylko szkoła sztygarów w Dąbrowie, ogrodnicza w Częstochowie (obie nie objęte powyższymi projektami), koło Sobieszyna zaś rolnicza, dotąd jednak nie otwarta. Wreszcie w b. r. szkolnym—nowa mechaniczno-techniczna w Warszawie przy ulicy Składowej. Zresztą wszystko jak było, z tą różnicą, że urosła liczba kandydatów do nauki. W ubiegłym tygodniu obradowano w sekcyi rzemieślniczej znowu nad tym przedmiotem; przypomniano sobie historyę powyższych starań i z powodu odezwy z Niższego-Nowogrodu, postanowiono na zjazd przyszłoroczny opracować już nie wiem, który z rzędu referat, a do tego powołać jeszcze jednę delegacyę. Ma to być nowa sposobność zbliżenia projektów do czynu. Oby skutecznie! Przedstawianie wszelkich potrzeb na zjazdach nie zawsze nam się udaje. Bywa albo oświetlenie niewyraźne, albo obraz warunków zanadto pobieżny, a stąd brak przekonywających dowodzeń. Być może, to właśnie przyczyniła się, iż wnioski i żądania naszych delegatów schodzą na plan ostatni i zanim na nie przyjdzie kolej, już się kończy termin zjazdu. Niechże owe próby niefortunne dadzą nam cokolwiek więcej doświadczenia i umiejętności traktowania spraw, mających na celu dobro ogólne.

Dr.

ALEKSANDER ZARZYCKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Niepospolity wirtuoz, twórca i w ogóle artysta o szerokim polocie, przestał żyć 1 listopada w Warszawie. Ze śmiercią jego sztuka nasza wiele traci i długo tę stratę odczuwać będzie. Zarzycki urodzony we Lwowie r. 1834, kształcił się najpierw w muzyce pod kierunkiem prof. Fiala, następnie po skończeniu szkół oddał się całkowicie sztuce z prawdziwym zapałem. Los go otoczył przyjaźnymi warunkami, pozwolił mu nie tylko korzystać z nauki w ogniskach sił i środków kształcenia, ale przez znaczną część życia przebywać w atmosferze wysokiego artyzmu. Cztery lata, spędzone w Paryżu, przyczyniły się do rozwoju i zmężnienia jego talentu, w czem niemało dopomógł znakomity profesor harmonii i kontrapunktu, Reber. Już przed tem r. 1856 nasz artysta dał się poznać ogółowi szerszemu ze swoich występów koncertowych wraz z Biernackim w Krakowie, Poznaniu i Jasach. Potem zaś 1860 wystąpił w Paryżu z koncertem własnym, zaliczonym do niezwykłych. To podniosło jego sławę i powodzenie. Zbierał następnie obfite laury jako znakomity pianista w Niemczech (r. 1862) w Kolonii, Koblencyi, Dreznie, Wiesbadenie. Szczyt zaś sławy i uznania zdobył r. 1863 po koncercie w Lipsku. Poprzedzony wysoce pochlebnemi pochwałami krytyki wytrawnej i publiczności, przybył do Warszawy i tu został kierownikiem świeżo stworzonej instytucyi — Towarzystwa muzycznego. Zawdzięcza ono w znacznej mierze jemu najświetniejszy okres owej wytworności artystycznej, którą następnie wyparły szeregi dyletantów, że tak powiem, terminatorów artystycznych. To właśnie zniechęciło Zarzyckiego do pracy u nas około podniesienia sztuki. Następnie przerzucił się na pole pedagogiczne, przyjął stanowisko kierownika Instytutu muzycznego, ale nadzwyczajnie skromny zakres i środki tego zakładu nie pozwoliły mu rozwinąć pracy w całej, pełni; i tę placówkę porzucił. Jako kompozytor, Zarzycki posiadał wielką indywidualność, dzieła jego pełne poezyi, dźwięczą nutą swojską i odznaczają się tą samą głębią uczucia, która cechowała naszego artystę także jako wirtuoza.

ADOLF OSTROWSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Tegoż dnia co Zarzycki, 1 listopada, zmarł długoletni pracownik naszej sceny, niepospolity, nawet pierwszorzędny aktor w zakresie komiczno-charakterystycznym. Ostrowski urodzony r. 1837, po skończeniu gimnazyum kształcił się w szkole dramatycznej, a w 1857 debiutował na deskach teatru „Rozmaitości“ w „Odludkach i poecie“ Fredry tudzież w „Dwóch aniołach opiekuńczych.“ Niełatwo to było wywalczenie stanowiska wobec takich sił, jak Panczykowski, Rychter, Chomanowski. Dopiero Chomiński, jako reżyser dramatu i komedyi, zwrócił nań uwagę i rządząc się bezstronnością, utorował mu drogę do ról właściwych. Po Panczykowskim Ostrowski zajął rozleglejsze pole pracy i odtąd stał się jedną z ważniejszych sił aktorskich, bardzo czynnych i dzięki całej postaci i twarzy odpowiedniej, był wielce podatnym do ról mimicznych, które przez długie lata doprowadził do wysokiej doskonałości, tak dalece, że w wielu razach wcale się nie charakteryzował, lecz grał mięśniami, zmieniającymi wyraz zupełnie. Umiał przez parę godzin trzymać usta wykrzywione i podobno nic zmieniał ich nawet w garderobie. Zgasły aktor należał do tej nielicznej garstki opracowujących role w najdrobniejszych szczegółach. Każda postać odegrana, to było osobne studyum, pochłaniające dużo czasu i energii. Pod tym względem Ostrowski posiadał takie usposobienie, jak Żółkowski. W ostatnich latach coraz bardziej usuwał się, a raczej usuwano go na szary koniec sceny; zwykłą koleją rzeczy wyparli go młodzi, zdrowi i zabiegliwi. Czuł to artysta i gryzł się skrycie; tłumiąc w duszy uczucie goryczy i żalu, palił swą energię, temperament i talent. Cierpienia fizyczne złamały go ostatecznie. Od dwu lat nie występował więc wcale. To też ogół, miłośników sztuki scenicznej, płynących na falach wrażeń codziennych, zdołał już nieco zapomnieć o świetnym niegdyś aktorze, a koledzy nie odprowadzali go do grobu z takiem uczuciem i — dekoracyami, jak się odprowadza zmarłych „na stanowisku.“

LIBERUM VETO.

Dobroczynność rodzinna. — Wybrańcy. — Szkoła rolnicza w Sobieszynie. — Jej monopol. — O co chodzić powinno. — Wystawa główek w Salonie artystycznym. — Modele i kopie. — Uroda naszych kobiet i jej oszpecenia. — Styl kokotowy. — Krótki proces z Eusapią Palladino w Anglii. — Nasza rozpacz.

W skarbcu dobroczynności naszej znajduje się mnóstwo ofiar, które noszą nazwę społecznych a są tylko rodzinnemi. Ktoś np., zapisując pewną sumę na stypendya dla uczącej się młodzieży, nie obwarowywa przyszłych kandydatów wymaganiami co do ich pracy, uzdolnień lub sprawowania się, lecz zastrzega pierwszeństwo dla swych krewniaków, posiadaczów tegoż samego nazwiska lub herbu, wreszcie dla mieszkańców jakiejś okolicy. Z procentów od kapitału...— pisze testator — rs. 100 przeznaczam na stypendyum, z którego mają prawo korzystać: noszący nazwisko Korskich, przed innymi potomkowie Antoniego Korskiego, po nich Treflińscy, Karscy i Pikowscy, pieczętujący się herbem Wint lub Wist, a gdyby tych zbrakło — synowie obywateli m. Warszawy, przed innymi — z okolic Resursy Kupieckiej. Nie przeczę, że na drzewie tych rodów znaleźć się może nieraz gałązka, obiecująca zdrowe i ładne owoce; jest to wszakże daleko mniejsze prawdopodobieństwo, niż pojawienie się takiej gałązki na konarach całego społeczeństwa. Zwykle też przy stypendyalnym stole zasiadają Korscy, Karscy, Treflińscy i Pikowscy lub inni herbu Wint i Wist, niegodni pod żadnym względem odznaczenia i poparcia, podczas gdy gromada zdolnych i zacnych biedaków nie otrzymuje żadnej pomocy dlatego tylko, że ich ojcowie pieczętowali się Pracą lub mieszkali na ulicy Długiej.

Ta dążność do ograniczenia filantropii przywilejami pochodzenia lub miejsca objawia się u nas stale. W folwarku Brzozowa, należącym do dóbr Sobieszyn, któremi zawiaduje Towarzystwo osad rolnych, wykonywując szlachetną wolę ś. p. Kickiego, będzie wkrótce otwarta niższa szkoła rolnicza. Otóż gazety donoszą, że w klasie pierwszej ma być 25 uczniów, między nimi 15 stypendystów stałych, utrzymywanych przez Towarzystwo a wybieranych *wyłącznie* z synów oficyalistów, służących w majątku Sobieszyńskim, na pozostałe zaś miejsca przyjmowani będą inni kandydaci, ale także z *pierwszeństwem* dla dzieci rodzin służby sobieszyńskiej. Krótko mówiąc, ponieważ śród niej znajdzie się zawsze 25 chłopców, więc szkoła istnieć będzie nie dla kraju, nawet nie dla okolicy, ale dla Sobieszyna. To coś całkiem nowego. Rotschild utrzymuje także pod Paryżem szkołę, która kształci wyłącznie ogrodników dla niego, ale jest to wielkopański zbytek, a nie przedsięwzięcie społeczne. Nie myślę służbie sobieszyńskiej zaprzeczać prawa korzystania ze szkoły na gruncie, na którym ona pracuje, a nawet godzę się na pewne przywileje dla jej synów. Niepodobna wszakże przyznać jej faktycznego monopolu. Naprzód bowiem wielu chłopców z tego szczupłego kółka może nie posiadać uzdolnień i przymiotów, usprawiedliwiających ich pierwszeństwo przed innymi kandydatami; powtóre — co jest względem jeszcze ważniejszym — opiekunom szkoły sobieszyńskiej powinno chodzić o to, ażeby jej nauka rozpostarła się jak najszerzej, czyli ażeby wychowańcy roznieśli światło jak najdalej od ogniska. Jeżeli jeden z nich wróci do swego miejsca rodzinnego w gubernii płockiej, drugi — w lubelskiej, trzeci — w radomskiej, czwarty — w kaliskiej itd., to chyba będzie stąd większy pożytek dla kraju, niż gdy wszyscy obsiędą Sobieszyn.

Salon artystyczny ogłosił konkurs na „główki,“ czyli, nie używając zdrobniałego języczka warszawiaków i warszawianek, mających rączki, nóżki, brzuszki, ząbki i języczki, noszących spodeńki i spódniczki, jedzących śledziki, kawiorek i kotleciki z sałatką, grywających w wincika i totalizatorka — mówiąc tedy prościej i po ludzku — konkurs na malowaną głowę kobiecą. Ażeby stanąć godnie do takiego turnieju, trzeba posiadać: talent, smak artystyczny i model. Nie wiem, której z tych trzech rzeczy jest najmniej w nadesłanych „głowach,“ ale to wiem, że każdej jest bardzo mało. Z wyjątkiem paru, ładnych lub znośnych, reszta zmusza widzów do wołania o miłosierdzie nad ich oczami. Ileż na tych głowach wymazano farb jaskrawych bez pojęcia o ich użyciu! Czasem pociesza nas myśl, że to nie farby kosztowne, ale tańsza od nich jajeczniczka, sok szczypiorkowy lub jarzębinowy. Wtedy mówimy sobie: no, strata niewielka, a jeżeli jeszcze niektórzy z szan. Greuzów rzucą pędzle zniechęceni po tym popisie, to nawet będzie pewna korzyść. Jak rzekłem— oprócz talentu trzeba mieć gust. Ludziom się zdaje, że posiada go każdy malarz z przyrodzenia. Bynajmniej. Są między nimi tacy, którzy znakomicie przedstawiają chudego konia, pijanego chłopa lub brudnego żyda, ale gdy namalują „piękną kobietę,“ to zdaje się, że pierwowzór wleciał do ich pracowni kominem na łopacie. Oni bowiem mają wrażliwość na rysy charakterystyczne, ale nie estetyczne. To też w galeryi konkursowej Salonu widzimy przeważnie twarze brzydkie, ordynarne, bezmyślne, chorowite lub wymizdrzone zdawkową zalotnością. A może artystom brakło pięknych modelów? W plemieniu polskiem kobiety są ładne— tego im nie zaprzeczy nawet nieprzyjaciel. Heine, który ze wszystkich i z nas drwił, powiada: „A teraz, czytelniku, zdejm kapelusz, bo będę mówił o polkach.“ Rzeczywiście, poznawszy Europę, każdy musi przyjść do wniosku, że przeciętny typ kobiety u nas przewyższa urodą typy innych narodów i że procent pięknych jest większy, niż gdzieindziej. Ale za to kobiety nasze zajmują może pierwsze miejsce w Europie pod względem oszpecania się. Chwytają one i powiększają najniedorzeczniejsze koncepty mody; jeżeli noszą korki w trzewikach—to szczudłowe, jeżeli wdziewają krynoliny — to jak balony, jeżeli się malują i tynkują — to jak kamienice. Od lat kilkunastu robią z siebie istne czupiradła zapomocą t. zw. grzywek, doprowadzonych zwłaszcza przez pokojówki do potwornego zwichrzenia. Same mają smaku niewiele, albo też tępią go w sobie doszczętnie, ażeby im nie przeszkadzał w bezwzględnem stosowaniu się do mody. Co jest w stroju piękne, a co brzydkie — nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, a raczej dowiadują się z żurnalów. Gdyby moda kazała im ogolić głowy, pokryć je perukami z koziego włosa, nasadzić na nie donice i nosić płaszcze z rogoży — w znacznej większości przywdziałyby ten strój z zachwytem i twierdziłyby, że jest prześliczny. Nadto pod wpływem Francyi, która obecnie patronką mody, jak niemal całego życia, uczyniła kokotę, wytworzył się w ubraniu, w uczesaniu głowy, w wyrazie twarzy osobny styl kokotowy. Polega on na jaskrawości w barwach, na przesadzie w kroju, na rozczochraniu włosów nad czołem w jakąś zawieruchę, na pomalowaniu policzków, brwi, rzęs, ust, podobno zębów, które wysuwają się z warg odchylonych niby namiętnością, niby wdziękiem, niby uśmiechem, a co nie jest ani namiętnością, ani wdziękiem, ani uśmiechem, tylko obstalowanem, sztucznem mizdrzeniem się. Bo w tym stylu niema naturalności, niema szczerości, jest tylko płytki, mdły, wypaczulowany i głupkowaty fałsz. Ależ nie wszystkie kobiety charakteryzują się *a la cocotte*, malarze więc mogliby znaleźć modele „główek“ pięknych urodą, pięknych postacią i wdziękiem naturalnym; czemuż jednak wybierają inne? Chcą dogodzić panującemu gustowi. Jeżeli przyzwoity i szanujący siebie krawiec nie skroi rękawów zwykłych, kiedy „noszą“ bufiasto, to jakże malarz może przedstawić głowę kobiety bez grzywki i uczernionych brwi? Nie byłby *modern*. Oto dlaczego na wystawie konkursowej Salonu tyle jest wymizdrzonych koczkodanów, a tak mało obrazków rzeczywiście ładnych. Z tych ostatnich największą według mnie wartość artystyczną posiada głowa kobiety pod godłem „Souvenir de Léopol“—niestety, także z małą grzywką.

Niechże Salonowi nie przyjdzie czasem zła myśl ogłoszenia konkursu na główki naszych wielbicieli Eusapii. Chociaż byłby to niezmiernie ciekawy widok rozmaitych wyrazów i sposobów wstydliwego spuszczania oczu. Jak już może wiadomo czytelnikom, ta, która w Warszawie odkryła nowe światy istnienia i wprowadziła w nie myśl naszą; ta, która rozbiła stare bożyszcze wiedzy i na ich ołtarzach postawiła inne, prawdziwe; ta, która zapomocą szczególnych manipulacyj rękami i nogami w ciemności dowiodła, jak mizerną i głupią była cała dotychczasowa nasza nauka; ta objawicielka nieznanych prawd, której sławieniu i obronie poświęciliśmy tyle zapału polemicznego, męztwa i wzgardy dla przeciwników— została jako oszustka zdemaskowana w Anglii (Cambridge), skąd musiała uciec przed następstwami ogólnego oburzenia. Anglicy, praktyczniejsi, no, może i rozumniejsi od nas, zrobili z nią „krótki proces“ i załatwili się z odźwierną „świata duchów“ bardzo szybko. Gdy ta wiadomość przyszła do Warszawy, usłyszeliśmy głęboki jęk wielu piersi, przygniecionych ciężkiem brzemieniem i gwałtowny łomot walącej się świątyni nowego kultu, wzniesionej pod wezwaniem boskiej Eusapii. Ale niech się nie smucą jej wyznawcy i czciciele. Usunięto jedną oszustkę, wystąpi druga i znowu będziemy „odradzali wiedzę“ zapomocą targań za brodę i tańczących stolików. Epoka obecna, sprzyjająca wierze w największe niedorzeczności, nie powinna nikomu odbierać tej nadziei.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Lublin. P. Stanisław Czachórski wniósł podanie do ministeryum o budowę kolei, która idąc do Chełma, przecinałaby powiat hrubieszowski i doszłaby do Tomaszowa na granicy austryackiej. Projekt przesłano, gubernatorowi lubelskiemu, który polecił naczelnikowi powiatu hrubiszowskiego i tomaszowskiego rozpatrzenie tej sprawy wspólnie z ziemianami okolicznymi i następnie złożenie odpowiednich wniosków. Narady odbyły się a ich rezultatem jest gorące poparcie projektu. A oto oświetlenie warunków, przedstawione przez uczestników uchwały: powiat hrubieszowski, najurodzajniejszy ze wszystkich w Królestwie, posiadający gospodarstwa rolne o wysokim stopniu kultury, około stu młynów, cukrownie w Mirczu, wiele fabryk i zakładów przemysłowych i przemysłowo-rolnych, pozbawiony jest zupełnie możliwej komunikacyi. Budowa szos jest nadzwyczaj utrudnioną i kosztowną ze względu na naturę gruntu. Podobnież rzeczy się mają i w pow. tomaszowskim, posiadającym cukrownię w Poturzynie, młyn amerykański w Wożuczynie i krochmalnię w Podlodowie. Drogi, dziś istniejące, są tu prawie nie do przebycia. Wobec takich warunków, kolej projektowana jest niezbicie potrzebną i może liczyć na znaczny ruch ładunków towarowych. Kierunek projektowanej linii wskazano od Chełma przez Wojsławice, Uchanie Terebin i Mircze, a ztąd do pow. tomaszowskiego na Łaszczów. Obywatele okoliczni oświadczyli swą gotowość przyłożenia się do zniżenia kosztów budowy drogi przez uprzystępnienie cen gruntów i materyałów budowlanych. Dalsze losy projektu zależeć będą od wniosków wydziału wojskowego i od energicznych starań bezpośrednio zainteresowanych obywateli.

Piotrków. Magistrat zawarł z przedstawicielem Towarzystwa augsburskiego zjednoczonych zakładów gazowych umowę o oświetlenie miasta na lat 50. Po upływie tego terminu całe urządzenie przechodzi na własność miasta; gdyby zaś ono chciało skrócić termin do lat 40, wówczas będzie obowiązane zwrócić przedsiębiorcy, wszelkie koszty, po latach zaś 40-tu połowę. Po 15-tu magistratowi służy prawo zażądania zmiany oświetlenia gazowego na inne lepsze, ale pod warunkiem, aby nowe urządzenie nie naraziło przedsiębiorcy na zbyt wielkie koszty, których wszakże wysokości nie określono wyraźnie, więc ten warunek jest czczym dźwiękiem wyrazów. Miasto daje bezpłatnie plac pod gazownię, zapewnia Towarzystwu, czy też jego przedstawicielowi 4,000 rs. rocznie dochodu z opłaty za oświetlenie. Cenę gazu oznaczono na 2 rs. 40 kop. za 1,000 stóp sześć. Na początek ma stanąć tylko 200 latarni w odstępach 40 metrowych, każda o sile 12 świec. Tak więc szumnie zapowiadane oświetlenie elektryczne może przyjść do skutku za lat 15 w najlepszym razie, gdyż dzięki niejasnym warunkom, przedsiębiorca może odwlec to ulepszenie prawie do połowy przyszłego wieku. — Karol Burghard zapisał Towarzystwu dobroczynności w Piotrkowie procent od sumy rs. 12,000 na udzielanie zapomóg dla ubogich młodzieńców i dziewcząt wyznania katolickiego na kształcenie ich fachowe w rękodzielnictwie, przemyśle lub handlu; przyczem jednak rozporządził, że gdyby Towarzystwo mogło kiedykolwiek założyć instytucyę, mającą na celu nauczanie ubogich katolików płci obojga rozmaitych rzemiosł, to na utrzymanie tego zakładu można użyć procent nietylko od sumy powyższej lecz i od rs 18,000, czyli że razem Towarzystwo miałoby do rozporządzenia na ten cel odsetki od rs. 30,000, t. j. około rs. 1,430 rocznie. Do d. 1-go lipca r. b., procent od rs. 12,000 obracano na utrzymanie warsztatów tkackich, od rs. 18,000 zaś na inne cele dobroczynne. Ponieważ od d. 1-go lipca r. b. koszt utrzymania warsztatów pokrywany jest z ogólnych funduszów Towarzystwa, więc rada zastanawia się nad tem, czy nie możnaby założyć w Piotrkowie instytucyi, o której wspomina zmarły Burghard. Ogłoszono w czasopiśmie *Tydzień* odezwę, wzywającą do nadsyłania projektów i uwag w tej sprawie. „Ankieta“ wykaże, jaka szkoła rzemieślnicza byłaby dla mieszkańców Piotrkowa najpożądańszą. — Według obliczeń urzędowych za r. z., w gub. piotrkowskiej mieszka: 0·5% rosyan, 73% polaków, 13·5% żydów, 12% niemców, 0·2% czechów, 0·1% francuzów i 0·2% litwinów. Na 1000 dzieci w r. z. we wsiach wypadło nieprawych 25, w miastach 53.

Mińsk. *Wileń. Wiest.* podaje ciekawe szczegóły o największych i najliczniejszych dotąd posiadłościach gub. mińskiej: Przed dziesięciu laty właścicielem największych obszarów ziemi był Piotr książę Wittgenstein. Rozległość jego dóbr wynosiła w różnych powiatach 800 tysięcy dziesięcin. Obecnie, z wyjątkiem Naliboków, Lubczy i pałacu pod Wilnem, Werek, majątki te przeszły w inne ręce. W pobliżu Mińska leżą dobra powittgensteinowskie, Smolewicze, słynne z dużych obszarów leśnych, rozległości 60,000 dzies., a należące obecnie do p. Gelmersena. Według ostatnich danych, do rzędu obywateli ziemskich, posiadających więcej niż 100,000 dzies., należą: Antoni ks. Radziwiłł, Konstanty hr. Potocki—120,943 dzies.; August hr. Potocki — 111,322 dzies., Blizko 100,000 dzies. posiadają hr. Tyszkiewiczowie. Następnie Franciszek Pusłowski jest właścicielem około 50,000 dzies. hr. Goleniszczew-Kutuzow—41,400 dzies., Niezabitowski — 40,000 dzies., hr. Zubow—35,886 dzies., Słotwiński—35,400 dzies., Hieronim Kieniewicz—35,174 dzies., Al. Horwath — 30,177 dzies., Emeryk hr. Czapski—30,002 dzies., Rybnikow — 27,100 dzies., Al. Skirmunt — 26,675 dzies., Puszkin — 25,582

dzies. Właścicielami mniejszych obszarów są: Lewandowska—25,000 dz. Jan Szewin—23,120 dzies., Krzysztof Szczyt-Niemirowicz — 22,810 dzies., Oskar. hr. Tyszkiewicz — 20,114 dzies., Marya Gordziałkowska — 18,120 dzies., Karol Świeżyński—18,000 dzies., książę Drucki-Lubecki — 17,466 dzies., Stanisław Kierbedź—15,800 dzies., Kamila Kowalewska — 15,800 dzies., Teofil Nowicki — 15,260 dzies., Wiktor Geyer — 14,776 dzies., Karol Chodkiewicz—14,500 dzies., Józef Wojniłowicz—14,400 dz., Al. hr. Grabowski—13,600 dzies., Jan Wiśniewski—13,362 dzies., Al. Bułhak—13,000 dzies., Weljaminow-Woroncow—12,540 dzies., Wład. Jeleński—12,178 dzies., Julja Przyborzyna—12,176 dzies., Cezar Olesza — 12,167 dzies., Feliks Oskierka — 11,574 dzies., Brzeziński—11,570 dzies., Ant. Czarnecki—10,637 dzies., Zofia Łaszczowa — 10,139 dzies., Idalia Naruszewiczowa—10,310 dziesięcin.

Petersburg. Tworzenie się i rozwój straży ochotniczych, piszą *Birż. Wied.*, jest rzeczą nader pożądaną i w zasadzie bardzo pożyteczną. Szkoda tylko, że swracają one wiele uwagi na uniformy, przeglądy i robią zanadto hałasu, o nic. Tak np. jedna mając rocznego dochodu około 3,000 rs., otrzymywanych głównie z ofiar publicznych i zapomogi od miasta, przeznaczyła w r. z. na pompatyczny obchód swej rocznicy założenia ni mniej ni więcej tylko 680 rs. 92 kop. Ministeryum spraw wewnętrznych, sprawdzając rachunek straży, uznało takie trwonienie pieniędzy za niezgodne z zadaniem stowarzyszenia i życzeniem ofiarodawców, którzy przeznaczyli zapomogi na pewne cele publiczne, nie zaś na uczty. Wobec tego ministeryum zwróciło się do gubernatorów z zaleceniem aby na przyszłość starali się zapobiegać podobnym objawom. — Do biblioteki uniwersytetu petersburskiego przybył dar króla syamskiego, zbiór ksiąg świętych buddhystów, noszący nazwę „Tripitaka.“ Składa się on z 30 tomów in 4°. Książki oprawione są w papier jasno-kawowy i ozdobione herbem króla. Oprócz tego przy każdej dołączony jest portret króla, siedzącego na tronie. Książki wydrukowane na cienkim papierze, przypominającym bibułkę.

SPRAWY EKONOMICZNE

DELEGACYA PRACY KOBIET.

I.

Kiedy nasze kobiety fachowe po raz pierwszy postanowiły podać sobie dłonie w celach pracy zbiorowej i pomocy wzajemnej, powitano ich zabiegi niedowierzaniem i szyderstwem, a gdy przedstawicielki, usiłujące swym towarzyszkom utorować wstęp do organizacyi gotowej — cechów, zebrały się w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa na Krakowskiem Przedmieściu, doleciał nas od strony obecnych sprawozdawców drwiący pomruk, który następnie rozszedł się po szpaltach dziennikarskich. To pierwsze powitanie, ta zimna woda do rozrabiania papki fejletonowej, bynajmniej nie oziębiła zapału inicyatorek, przeciwnie, posłużyła im za wskazówkę, jak mają się zachowywać wobec „opinii publicznej.“ Zamknęły się przed wzrokiem szyderczym natrętów. Dzięki temu mogły pracować rzetelnie przez rok i osiem miesięcy, a gdy zdołały zebrać sumę jakich takich rezultatów, złożyły publiczne sprawozdanie w tygodniu ubiegłym (na posiedzeniu sekcyi rzemiosł) za pośrednictwem sekretarki, p. J. Bojanowskiej. Zobaczmy, jak ta niereklamowana działalność wygląda.

Przedewszystkiem stworzono delegacyę pod nazwą „pracy kobiet“ i przewodnictwem p. Kuczalskiej Reinschmit. Z natury rzeczy dużo czasu pochłonąć musiały sprawy teoretyczne, bo ogół niewieści, pracujący w dziedzinie przemysłu i rękodzielnictwa, nie mając nigdy żadnej organizacyi ekonomicznej, nie jest dostatecznie uświadomiony w tej mierze. Tym rzeszom, idącym na oślep, poszukującym zarobku najczęściej przypadkowo lub tam, gdzie setki i tysiące innych towarzyszek poszły, należało dać obraz ogólnych warunków bytu u nas, wskazać pola, bądź obarczone nadmiarem poszukujących zarobku, bądź pozostawione odłogiem, wreszcie przedstawić i wyjaśnić te przepisy prawne, które, skutkiem nieświadomości, przez długie lata pozostawały martwą literą, pomimo że mogły dopomódz kobietom do zjednoczenia na gruncie ekonomicznym.

Z przejrzenia praw cechowych wynikły ważne pytania: Czy przedsiębiorczynie konsensowe mają jakąkolwiek styczność z zarządami cechowymi? Czy prawa, dotyczące małoletnich, stosowane są i do zakładów, zatrudniających dziewczęta? Czy nie istnieje jakie prawo zwyczajowe odnośnie do czasu wypróbowania umiejętności fachowej? Czy pracownice te odczuwały potrzebę korporacyj zawodowych? Otóż w odpowiedzi fakty wykazały, że w tym względzie nie istnieje żadne prawo, nawet zwyczajowe, a więc termin jest zależny zupełnie od osobistych zapatrywań właścicielek pracowni. Bezpłatna robota, jako próba, trwa często od dwu dni do miesiąca. Same atoli przedsiębiorczynie przychodzą do przekonania, że po dwu dniach można już zupełnie ocenić przysposobienie fachowe pracownicy. Te więc, które przedłużają termin aż do miesiąca, dopuszczają się pospolitego u nas wyzysku. Właścicielki różnych magazynów utyskują na brak świadectw uzdolnienia i zaznaczają konieczność kontroli nauki; jednocześnie wynikł wniosek tworzenia osobnych cechów kobiecych.

Dzięki zbliżeniu się i obradom, interesowane poznały ustawę cechową i przyszły do przekonania, że wolno im: 1) ująć w karby naukę fachową, dawać pomoc szkolną; 2) zabezpieczać zarobkodawców i pracownice przed samowolną przerwą w robocie; 3) wspierać chorych i podupadłych uczestników zgromadzenia; współdziałać w rozwoju rzemiosła. Nadto ustawa daje możność stworzenia kas wzajemnej pomocy, t. zw. gospód i biura pracy. Przykłady zaś niektórych cechów świadczą, że możliwe jest wprowadzenie różnych uzupełnień w zakresie administracyi. Co do jednoczenia się odrębnego lub wchodzenia pod skrzydła organizacyj gotowych, zależy to od kategoryi rękodzielniczek. Te, które uprawiają daną gałąź rzemiosła wyłącznie lub przeważnie (np. haft, szycie bielizny, kwiaciarstwo), mogą stworzyć swój cech własny. Pracujące zaś nielicznie (np. w szewctwie, introligatorstwie), albo specyalistki, którym oddawana jest jakaś część roboty do wykonania (obszywaczki w szewctwie, szwaczki rękawiczek), powinny się przyłączyć do innych stowarzyszeń (męzkich), istniejących oddawna. Na mocy tego kwiaciarki, jako najliczniejsze, postanowiły starać się o własny cech. Starszy zaś zgromadzenia rękawiczniczego przyrzekł ułatwić przyjęcie szwaczek rękawiczniczek.

Przy tej sposobności muszę zaznaczyć znamienny spór, którego początek datuje się od chwili zawiązania delegacyi i trwa dotychczas. Chodzi o danie kobietom nietylko głosu doradczego, lecz i prawa udziału w wyborach starszego zgromadzenia tudzież o dopuszczenie ich do kasy czeladniczej. Przeciwko jednemu i drugiemu silnie występuje p. Juszczyk, bardzo, zanadto nawet wymowny, ale niemożliwy w żadnej dyspucie, ze względu na ton wysoce protekcyonalny, przemocne narzucanie swych zapatrywań i zalewanie logicznych twierdzeń przeciwnika potokiem słów. Broni on zaciekle wstępu pracownicom do kasy powyższej, bo ta od dawien dawna istnieje tylko dla mężczyzn-czeladników, którzy na mocy tej dawności mają jedynie prawo korzystać z funduszów; przybycie zaś nowej rzeszy w spódnicy byłoby pokrzywdzeniem ich wyłączności, długiemi latami uświęconej. Szczególna logika! Czeladnik dziś albo jutro wstępujący, jest także nowy i korzysta z instytucyi, którą nie on, lecz inni zasilali prawie od początków niniejszego stulecia. Bierzmy więc kobietę nie jako przedstawicielkę płci innej, lecz jednostkę, wnoszącą składkę na równi z owym czeladnikiem, także jednostką w liczbie uczestników. Czy o tak jasną rzecz może być jakikolwiek spór? A jednak p. Juszczyk wywołał i podtrzymuje go uparcie nadal. O takie dowodzenia i protesty, zahartowane w ogniu rutyny, zbyt ciasnej i jednostronnej, rozbijają się najlepsze usiłowania i najlogiczniejsze argumenty. Kobiety nasze powinny wszakże z tem się pogodzić, że przeciwko nim wytoczono różnego kalibru działa i kartaczownice, miotające niedorzeczności. Niech się więc zaopatrzą w broń najsilniejszą: cierpliwość, i dalej prowadzą dzieło zaczęte.

Wracając do delegacyi, muszę zaznaczyć wzorowy układ programu jej działalności. Po rozpatrzeniu strony prawnej i formalnej, postanowiła ona skupić dokoła siebie wszystkie przedstawicielki pracy zawodowej grupami, ogarniającemi dane gałęzie przemysłu lub rzemiosła. Tym sposobem łatwo można przyjść do porozumienia, dokładnie rozważyć potrzeby i zebrać niezbędne szczegóły dla wyświetlenia warunków bytu. Tak np. na baczną uwagę zasługuje fakt, iż w okręgach warszawskim, łódzkim, sosnowickim i dąbrowskim ogólna liczba robotnic dosięga 78,000, a norma ich płacy zawsze jest niższą, niżeli mężczyzn; maximum ich zarobku równa się najmniejszemu wynagrodzeniu mężczyzny. W tkalniach np. kobiety zarabiają 8—11 rs. 50 kop., mężczyzna od 11 do 28 rs. Prócz tego robotnice otrzymują zajęcie najprzykrzejsze i najszkodliwsze (np. sortowanie wełny, gałganów itp.). To też cyfry statystyczne z Żyrardowa wykazują 26% chorych kobiet i 19% mężczyzn. Zaradzić złemu w znacznym stopniu może tylko prawodawstwo odpowiednie.

Delegacya, badając warunki pracy zarobkowej, między innemi położyła nacisk na znaczenie rysunku technicznego i dla wyrobienia jasnego pojęcia o tym dziale, zwróciła się o wskazówki do sekcyi technicznej, która w odpowiedzi zachęciła kobiety do owej gałęzi pracy. Przykłady już stwierdziły, że specyalistki w tej dziedzinie są sumienne, pożyteczne, a przedewszystkiem... tanie. Biuro pomiarów przy zarządzie kanalizacyi i wodociągów w sali rysunkowej dało zajęcie kilku kobietom, władze zaś są z nich zupełnie zadowolone. Praca trwa od 9-ej rano do 4-ej po południu, z przerwą półgodzinną na śniadanie. Wynagrodzenie wynosi rubla dziennie. Jeden szczegół zasługuje na baczną uwagę: rysowniczki po wykończeniu planu nie umieją go „opisać,“ a więc należałoby wraz z rysunkami technicznymi uczyć jednocześnie kaligrafii.

Pod wpływem tych wskazówek, p. Wiesiołowska, uczestniczka delegacyi, otworzyła w swej szkole artystycznej specyalny kurs rysunku technicznego. Kierowniczka owego zakładu między innemi stara się o wykształcenie osobnych specyalistek w zakresie ornamentyki i „rysunku figuralnego,“ ze znajomością stylów, historyi sztuki i jej rozwoju; rezultaty już są widoczne, bo z chwilą zaprowadzenia owego działu, tj. od lat dwóch, zapisało się uczenic 10, po roku zaś wszystkie za pośrednictwem szkoły znalazły praktykę w biurach inżenierów i uczą się jednocześnie w dalszym ciągu.

Sprawozdanie delegacyi kładzie nacisk również na wzrost liczby pracownic w zakresie sztuki stosowanej do przemysłu i zaznacza ich wziętość tudzież rozgłos, „stwierdzony nagrodami na różnych wystawach.“ Ten fakt wszakże nie jest świadectwem powodzenia na gruncie ekonomicznym. Nagrody — to zadowolenie moralne i po za tem nic więcej. Niechaj tedy delegacya zbytnio nie zachęca kobiet do tego działu pracy; przeciwnie — o ile wiemy — tak się one do niego garną, że warto byłoby nawet powściągać liczne ochotnice i skierowywać na inne pola, bo przecież i samo sprawozdanie głosi, że dotąd miejscowa produkcya nie zdołała wyprzeć z handlu wyrobów zagranicznych, ani skutecznie współzawodniczyć z robotnikami, sprowadzanymi z Niemiec do malarni. Gobeliny np. przywożone są z zagranicy dla kupców tutejszych, a co ważniejsza, agenci fabryk obcokrajowych sami tu przyjeżdżają i umieją interesowanych nakłonić do wielkich zamówień.

P. Poświkowa upatruje przyczynę tego w niesystematyczności nauki u nas, przez co niemożliwe jest stworzenie produkcyi fabrycznej w zakresie sztuki stosowanej. A więc tem bardziej nie należy wytwarzać bezcelowo całych rzesz „artystek,“ które się uważają za wielkie kapłanki sztuki i po paru latach próby, z bólem w sercu i rozgoryczeniem w duszy muszą się brać do czego innego, bodaj nawet do igły. Niech te wielkie pretensye zniżą się do poziomu zwyczajnego rzemiosła, niech szkoły gruntowniej uczą i trochę przebierają w kandydatkach, a wtedy może się wykształci garść rzetelnych pracownic, ale takich, które mogłyby stworzyć lub zachęcić innych do stworzenia produkcyi fabrycznej, z warunkiem zużytkowania ich pracy. Nie będą one może otrzymywały nagród i uznania na wystawach, ale dobrymi i tanimi wyrobami zadośćuczynią potrzebom rynków, które podobno można zdobyć w wielu miejscowościach Cesarstwa.

Ze spraw, poruszonych w łonie delegacyi przez p. Kuczalską-Reinschmit, zasługuje na poparcie i uznanie projekt spółki gospodyń wiejskich. Zadaniem takiego stowarzyszenia byłoby dostarczanie na rynki wszelkich wyrobów gospodarstwa kobiecego, jak: wędliny, przetwory owocowo, jarzyny, drób, nabiał, nasiona i t. d. Chcąc grunt odpowiednio przygotować, delegacya rozesłała kwestyonaryusz stosowny z zapytaniami: Ile wynosić będzie koszt wytworzenia funta, puda lub korca danego produktu wraz z dostawą do Warszawy? Na jakie ilości i terminy producentki mogą się zobowiązać? Ma to przedewszystkiem na celu porównanie cen żądanych z ustanowionemi przez składników tutejszych. Po zbadaniu gruntu, w razie widoków powodzenia, delegacya będzie pośredniczyć i ułatwi mieszkankom wsi porozumienie wzajemne dla stworzenia spółki udziałowej lub komandytowej. Dotychczas są to tylko kroki przygotowawcze; jedną zaś cegiełką dla podstaw praktycznych może posłużyć prośba, skierowana do delegacyi przez pewną kobietę przedsiębiorczą. Otwiera ona kantor komisowy zbytu produktów, w tym celu pragnie zakontraktować dostawę roczną, na początek w ilości trzech pudów masła tygodniowo i odpowiedniej liczby jaj. Delegacya nie odmówiła swego pośrednictwa i już w tym fakcie widzimy jasno zarysowaną jej rolę.

Ta jedna obrotna kobieta może się stać w przyszłości uczestniczką związku. Należałoby atoli dać mu właściwe podstawy, tj. nietylko starać się o zdobycie w Warszawie rynku dla pojedynczych rozproszonych gospodyń, ale stworzyć produkcyę zbiorową, wreszcie postarać się również o rynki w innych większych miastach. Niełatwa to rzecz i nie obiecująca natychmiastowego powodzenia. Pierwsze jednak ciężkie kroki i zawody nie powinny zrażać. Producentki wiejskie mają obszerne pole do pracy; idąc ręka w rękę, mogłyby one wyprzeć spekulacyę i wraz z nią produkty podrabiane. Połączone zaś siły wytwórcze dałyby możność oznaczenia cen przystępniejszych od tych, jakie są dziś żądane przez producentki pojedyncze, wytwarzające dość kosztownie. Taka tylko droga prowadzi do powodzenia i rozwoju przedsiębiorstwa z korzyścią zarówno wytwórców, jak i spożywców.

Dotychczasowe usiłowania delegacyi, jako pośrednika, nie na tem się kończą. Zajrzała ona do różnych dziedzin pracy kobiecej, o ile miała możność, zbadała jej warunki, wyświetliła braki i ufna w pożytek tudzież owocność swych zabiegów, postanowiła iść naprzód, o ile środki i siły jej pozwolą. W dalszym ciągu rozpatrzymy to, co ona zdziałała do dnia dzisiejszego i co jeszcze zrobić powinna.

Zenon Pietkiewicz.

— Po otwarciu w r. p. skarbowych składów maszyn, narzędzi rolniczych i nasion, ministeryum będzie sprzedawać włościanom owe przedmioty po cenach przystępnych.

— Towarzystwo komandytowe w Hamburgu, zamierzające pośredniczyć pomiędzy wytwórcami z Rosyi a spożywcami w Ameryce, postanowiło otworzyć na swój koszt stałą wystawę wzorów. Departament handlu poleca powyższą firmę, jako poważną i odpowiedzialną.

— Dla rozwoju przemysłu torfowego będą urządzone stacye doświadczalne, które otrzymają mapy pól odpowiednich, próby i okazy produktu, przyrządy, potrzebne do eksploatacyi i prasowania. Nadto — laboratorya do szczegółowych analiz torfu, jako materyału, służącego nietylko na opał, lecz i nawóz, wreszcie do wyrobu smoły, dziegciu, olejków itd.

— Na kolei Terespolskiej wprowadzono wagony specyalne do przewozu mleka.

— Senat wyjaśnił, iż żydzi, opłacający przez lat pięć pierwszą gildyę w miejscach, gdzie pobyt im jest pozwolony, mogą się przesiedlać do gubernij wewnętrznych, bez względu na czas zatwierdzenia przez Izbę skarbową stanu kupieckiego.

— Wystawa metalowa w Warszawie dała czystego zysku rs. 5,559.

— *Birż. Wied.* donoszą, że ministeryum rolnictwa w budżecie swym na rok przyszły zamieszcza następujące nowe pozycye: rs. 15,000 na popieranie i rozwój pszczelnictwa i jedwabnictwa krajowego, oraz rs. 200,000 na podniesienie hodowli bydła i zakup reproduktorów rasowych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wychodźtwo do Ameryki z okolic Mławy nie ustaje, pomimo że wielu powraca z rozczarowaniem. W ostatnich dniach z Mławy i wsi sąsiedniej, Studzieńca, wyemigrowało znowu kilkunastu mieszkańców.

Koleje i komunikacye. Według nowego projektu ustawy, poczta, telegraf i telefon będą połączone pod jednym zarządem państwowym. Listy otwarte otrzymają nazwę „kart pocztowych.“ Zamiast otwartych i zamkniętych pakietów wartościowych, będą „listy otwarte i zamknięte.“

— W razie pomyślnych wyników komunikacyi telefonowej między Petersburgiem a Moskwą, będzie urządzone także połączenie między Petersburgiem a Warszawą i Moskwą a Charkowem.

— Za przykładem kolei Terespolskiej, wprowadzone będą wagony do przewozu mleka na Nadwiślańskiej między Iwangrodem i Ciechanowem a Warszawą.

— Na kolejach tutejszych odbywają się próby zastosowania telefonów za pośrednictwem drutów telegraficznych do sygnalizowania pociągów.

Wystawy i zjazdy. Przemysłowcy i rękodzielnicy tutejsi, biorący udział w wystawie niższonowogrodzkiej, postanowili podobno przedtem popisać się z okazami swymi w Warszawie. W tym celu za pośrednictwem Towarzystwa przemysłu i handlu będą rozesłane odezwy, zachęcające do udziału w popisie próbnym, który trwać ma do 1 kwietnia w Muzeum przemysłu i rolnictwa.

— Uczenice zakładu p. Wiesiołowskiej czynią przygotowania do wystawy szkolnej. Obejmie ona: malarstwo czyste i stosowane, modelowanie z gliny i rysunki techniczne.

Dobroczynność. Zatwierdzono zapis Aleksandra Adamowicza, 3,000 rs. na stypendyum dla ucznia gimnazyum warszawskiego, katolika i darowiznę 8,000 rs., przeznaczoną przez ziemstwo gub. wiackiej na stypendyum dla studenta Instytutu w Nowej Aleksandryi.

— Osoba nieznana wniosła do Instytutu głuchoniemych w Warszawie rs. 215 na pokrycie opłaty za pięciu wychowańców, którzy mieli być wydaleni z braku środków.

Dar. Biblioteka uniwersytetu w Warszawie, jak donosi *Kuryer warsz.*, otrzymała od króla syamskiego [illegible] tomów świętych ksiąg buddhyjskich, drukowanych w Syamie na pięknym papierze chińskim, oprawnych w skórę i ozdobionych heliograficznymi portretami króla. Takie same dary otrzymały wszystkie uniwersytety w państwie.

Sądy. Oddawna ciągnący się spór o kolej Wilanowską rozstrzygnięto w tygodniu ubiegłym. Mocą wyroku sądu handlowego, oddalono akcyę główną Magnusa co do dotrzymania umowy, unieważnienia pierwotnego aktu spółki, protokółów ogólnych zebrań, uchwał zarządu, instrukcyj, deklaracyj z d. 15 stycznia 1893 r., uchwał delegacyi rewizyjno-odbiorczej, usunięcia Edwarda Chrapowickiego i Witolda Preyssa od zarządu, wydania skarżącemu ksiąg i dokumentów oraz zasądzenia szkód i strat. Przyznano mu jedynie prawo do dywidendy i tantyemy do d. 1 marca 1893 r. W uwzględnieniu akcyi wzajemnej Henryka Hussa, unieważniono akt spółki z d. 28 października 1891 r. między Hussem a Magnusem, zobowiązano tego drugiego do zwrotu pierwszemu ksiąg akcyj i wypłaty dywidendy. Koszt zasądzono od Magnusa na rzecz Chrapowickiego i Preyssa.

— W Izbie sądowej warszawskiej, jak donosi *Warsz. Dniew.*, wyznaczono na d. 22 listopada osądzenie sprawy byłego naczelnika powiatu pułtuskiego, r. st. Bulguczewa, oskarżonego o przestępstwo, przewidziane w art. 395 kod. karn. Oskarżenie będzie popierał prokurator Izby sądowej, Turau. Z rozporządzenia p. ministra, sprawa będzie się toczyła przy drzwiach zamkniętych.

— W sądzie karnym lwowskim rozpoczął się proces przeciwko handlarzom dziewcząt. Oskarżeni: szewc z Żółkwi, Lipa Sternberg, malarz pokojowy ze Lwowa, Izrael Eisenband. Usiłowali oni wywieźć do Stambułu dwie młode dziewczyny. Nadto za pomoc w handlu zasiadło na ławie oskarżonych pięć osób — trzy kobiety i dwu mężczyzn.

— R. 1892 P. Zbyszewska zapisała 10,000 rs. jako fundusz wieczysty na rzecz szkoły rzemiosł w Warszawie dla chrześcian, mających korzystać z procentów. Testament zawierał zastrzeżenie, że w razie zamknięcia szkoły przy ul. Jasnej, fundusz przechodzi na inną rzemieślniczą. Główna spadkobierczyni, p. L. Iżycka, złożyła sumę powyższą do depozytu Muzeum warszawskiemu, które procenty obracało na rzecz swych warsztatów rzemieślniczych przy ul. Składowej. Z tego powodu p. Jerzy Kühn, dyrektor szkoły, wystąpił sądownie, żądając właściwego zużytkowania zapisu. Sąd okręgowy przyznał p. Kühnowi prawa do legatu wraz z kosztami procesu rs. 487.

Wypadki. Zapadła się wieś Grabowo, w pobliżu Rieki.

Zmarli. Ignacy Chmielewski, w 78 roku życia, inżenier; przez lat 35 naczelnik dystansu na Wiśle. Napisał dużo artykułów specyalnych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Alb. Bar. w Paryżu. Rękopis przesłaliśmy przed dwoma tygodniami pod opaską.

J. S. 1) *Kuryera, Przyjaciela dzieci, Hodowcę*, gdyż osobowość nazwy przenosi się na samo pismo; 2) właściwie *aktów*, chociaż upowszechniła się forma *akt*; 3) dwadzieścia jedna.

Panu J. Turkowskiemu w Czeczelniku. Odebraliśmy odbitkę artykułu wraz z listem, widocznie do kogoś innego pisanym. Komu go przesłać?

Panu Bujalskiemu w Zdwizeńsk. Nietylko ostatniemi słowami, ale całością obraziłby się mocno ów „zmysł estetyczny," o którym Pan wspomina w liście. Po za kilku powszedniemi wyrażeniami wiersz ładny. Termin odsłonięcia pomnika nieo znaczony.

Pani Maryi M. Co my możemy orzec po przeczytaniu jednej kartki, której treścią jest to, że dziewczyna wyszła z ogrodu na pole? Tu poradziłby chyba tylko... grafolog, który z samego pisma odgaduje zdolności.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Октября 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.